

Pol/P
W-994

ISKRY

MYŚLIWSKIE RAMOTA

OSTAP WYSZNIĄ



Biblioteka Stańczyka





MYŚLIWSKIE RAMOTKI

Ostap Wysznia

MYŚLIWSKIE RAMOTKI



Przełożył Leon Susid

ISKRY · WARSZAWA
1960

Остап Вишня
ГУМОРЕСКИ ТА ФЕЙЛЕТОНЫ
1956

Илустрације і обволута
MIROŚŁAWA POKORY

OTWARCIE SEZONU ŁOWIECKIEGO

Między nami powiedziawszy „Otwarcie sezonu łowieckiego” odbywa się dwa razy do roku: na ptactwo — pierwszego sierpnia, na zwierza zaś pierwszego listopada. Ale weszło w tradycję, że myśliwi, do waszej wiadomości, obchodzą uroczyste pierwsze otwarcie, kiedy po dość długiej przerwie każdy z nich ma okazję wziąć znowu do rąk ulubioną strzelbę. Każdy z nich ma możliwość, że tak powiem, nie tylko wzbogacić swoją spiżarnię, nie tylko pomóc państwu w wykonaniu planu kontraktacji żywca, ale również zadość uczynić swoim zamiłowanom w dziedzinie przyrodoznawstwa, miłości do natury i sportu.

Jak więc widzimy — polowanie nie jest zwyczajną jakąś tam bzdurą, czy pospolitą błahostką, lecz raczej poważną i to bardzo poważną sprawą, szczególnie dla tego rodzaju ludzi, co my i wy...

Otwarcie...

Ileż to wymaga trosk, niepokoju i nerwów, aż wszystko zostanie zapięte na ostatni guzik: i strzelba, i naboje, i strój, i plecak — krótko mówiąc, wszy-

stko, co koniecznie potrzebne jest dla poważnego, solidnego polowania...

No, a gdzie jechać?

I z kim jechać?

Gdzie jechać?

Czy można od razu się zdecydować, gdzie jechać, jeżeli dzisiaj wam mówią:

— Niedaleko Boryspola, na jeziorach pojawiła się w tym roku niezliczona chmara kaczek. Nie uwierzysz, ale jak wypłyną — to jest ich więcej od rzęsy wodnej. Do tego doszło, że jedna na drugiej siedzi... Nie dalej jak wczoraj przyjechała stamtąd kobiecina i zwierzyła się mojej starej, że teściowi mówił kum, którego baba słyszała od swatki, że na własne oczy widziała podczas moczenia konopi tyle tego ptactwa, że nie było gdzie szpilki wetknąć. No, jedziemy?

— A jakże, jedziemy! Tylko u mnie z nabojami krucho!

— Spokojny łeb! Po co dużo nabojów? W ubiegłym roku zestrzelowano tam jednym nabojem dwadzieścia cztery kaczki. Pięć nabojów — sto dwadzieścia sztuk. I co za kaczki — tłuściochy, mówię ci! Ciężkie, cholery — więcej jak sto dwadzieścia nie uniesiesz...

Następnego dnia:

— Gdzie się wybieramy na otwarcie?

— Chyba do Boryspola?

— Co? Z bykaś spadł?! Czy widziałeś kaczki na suchym łądzie?

— Jak to na „suchym łądzie”?

— No, bo tam jeziora powysychały. O ile ja

wiem, to wiosną i latem nikt tam nie słyszał, by choć jedna kwakała. Prawda, przyleciało tam wiosną sporo ptactwa, ale pokrażyło to nad Boryspolem i uleciało wszystko do Nosówki. Słyszałeś o Nosówce?

— Słyszałem!

— Jeszcze na przedwiośni zebrały się tam kaczki z całego Lewobrzeża. Mówię ci, żywiołowe nieszczęście: wszystkie słoneczniki poniszczyły. Z powodu ich gniazd trawa na łąkach nie wyrosła: gniazdo na gnieździe, nie ma gdzie trawa rósć — a teraz rolnicy nie mają czym bydła karmić.

— Jak jechać to tylko do Nosówki.

Nazajutrz.

— Sie macie! No, jedziemy na otwarcie?

— Jedziemy.

— Do Jagocina?

— Nie, do Nosówki.

— He-he-he! Na żaby?

— Co za żaby wam się przyśniły?

— Bo w Nosówce — same żaby.

— Na kaczki — to tylko do Jagocina. Tam kaczu-szki...

I w ten deseń... itd.

A z kim jechać?

Ach, losie nieszczęsny!

Czy wśród myśliwych, ludzi miłujących ciche wieczory nad jeziorami, słyszających każdy szelest trzciny, pamiętających: „Wstrzymaj dech, wytrwaj w ciszy, bo sitowie nas usłyszysz...”, ludzi, dla których ryk buhaja na bagnie, to jak najsubtelniejsze pianissimo Kozłowskiego na nucie „la” dla senty-

mentalnie rozmarzonej blondynki, a tajemniczy plusk na jeziorze — melodią pełną drżących akordów, kiedy zaś pod wierzbą czy stogiem wszystko zostało opowiedziane i nagle zawiśła cisza — obowiązkowo przerwie ją i zakołysze jednostajnie — czarowne:

Zorzo moja wieczorna
Splyń na wodę, ach, spłyń —

to czy może się znaleźć wśród takich ludzi choć jeden, który by się nie nadawał na kompana podczas otwarcia sezonu łowieckiego?

...Pojedziecie, powiedzmy, z Iwanem Piotrowiczem... I gdy zasiądziecie na zielonym dywanie, pod zamyśloną wierzbą potoczą się wspomnienia o jego wspaniałym seterze-gordonie — szkoda gadać, takich psów teraz nie ma! — ten, kiedy natrafił pewnego razu w gęstej leszczynie na ślad słonki, to tak się przejął swoim psim obowiązkiem, że żaden gwizd ani pohukiwania nie potrafiły go zerwać z miejsca. A tu nastąpiła noc, Iwan Piotrowicz z powodu ważnych spraw musiał wracać do miasta i pozostawił psa. I wyobraźcie sobie, po roku, będąc w tych stronach przypomniał sobie setera. Poszedł do lasu, odnalazł te krzaki leszczyny:

— Patrzę, na tym samym miejscu stoi szkielet mego gordona... Stoi biedaczysko, z prawą łapą uniesioną do góry! To był pies! Zdechł, a się nie ruszył! Takiego już więcej nie spotkałem. Pamiętam, wtykałem mu w zęby kartkę i pieniądze:

Dżek! Biegiem, przynieś flachę wina! Zanim minęło pół godziny już jest z tym winem. Tylko nie wolno mu było dawać za dużo pieniędzy: resztę obowiązkowo przepijał!

...Gdzieś w pobliżu krzyknął derkacz, zapiszczała przepiórka i zapadła cisza, a ja zwałem się w trawę, mając wciąż przed oczyma Dżeka, przepijającego pieniądze swego pana.

...Pojedziecie z Piotrem Iwanowiczem, to ten wam się zwierzy, że przeważnie lubi polować na grubą zwierzynę, a na ptactwo się wybrał tak, ze względu na tradycję. Piotr Iwanowicz lubi przeważnie polowanie z nagonką... Boże, jaką on ma sukę Flejtę! Jak ona tropi. Zdarzało się, że dwa miesiące uganiała się za wilkiem. Rozumiecie, początkowo się bała. Gdy po raz pierwszy natknęła się na basiora, to wyskoczyła na przesiekę błada, błada jak ściana. A raz się zdarzyło, że czternaście wilków uganiało się za nim i za Flejtą.

— Piotrze Iwanowiczu, coś ty? Czyżby czternaście?

— Fakt! Zapytajcie się Flejty. I oba szare!...

...Filip Fiodorowicz zaś opowie o krótkowidzu starszuszku księgowym, namiętym myśliwym, będącym bohaterem fantastycznych historii i ofiarą całego towarzystwa, z którym stale polował. Dowiedzie się więc o zającu, który po wystrzale księgowego z przeraźliwym okrzykiem: „m-n-niu!” skoczył aż na czubek słupa telegraficznego i jak wystraszony księgowy porzucił strzelbę, mamrocząc „Wszelki duch Pana Boga chwali... tful siła nieczysta” i bez oglądania się zmiatał trzy kilometry do domu...

— Wiecie, ja sam nawlokłem na kota zajęczą skórę i zostawiłem obok słupa telegraficznego, stojącego na szosie, którą miał przejść biedaczyna księgowy...

— Ale to nie wszystko — dodaje Filip Fiodorowicz. — Pewnego razu przypięliśmy szpilką do za-

bitego zająca kartkę z napisem: „Za co żeś mnie zabił?”, postawiliśmy zająca pod krzakiem i napuściliśmy ślepałego księgowego na „zwierza”. Nagle bach! Zając — brys! Ten podbiegł, patrzy — kartka z zajęczym wyrzutem. Oj, było śmiechu!

...A czy nie pokładalibyście się, słysząc opowiadania pewnego starego dziadusia o tym, jak w młodości mimo to, że nie miał strzelby — stale wracał do domu z kaczkami?

— Jak on to robił?

— Zwyczajnie! O tam, widzicie, na zakręcie zawsze są kaczki. Przeplýwałem na wysepkę i ukrywałem się w trzcinie. Wiedziałem, że któryś z myśliwych obowiązkowo przyjdzie strzelać w siedzące kaczki. Patrząc: skrada się po cichu... Bach! Bach! A ja w trzcinie jak ci zawyję: „Jezu, ratujcie!...” Myśliwy chodu! Pewny był, że kogoś zabił czy postrzelił. Ściągałem portki, chlust do wody po kaczuszki i biegiem do domu...

... Przetoczyła się zorza. Szczur wodny z chlupotem skoczył do rzeki... Przez sen kwaknęła kaczka... Pisenęła sikorka wodna... Zahuczał gdzieś daleko parowóz...

Zapadał zmierzch...

— Fiut-fiut-fiut! — zagwizdała w powietrzu cyranka...

— Bach!

Pierwszy wystrzał.

Polowanie się zaczęło.

JAK GOTOWAĆ I JEŚĆ ZUPĘ Z DZIKIEJ KACZKI

M. Ryłskiemu

Był taki znakomity ornitolog, Menzbir, który na podstawie wieloletnich obserwacji i naukowych badań orzekł autorytatywnie, że dzikie kaczki spotykamy nie tylko na straganach targowych, ale również na jeziorach wśród łąk, w trzcinie wodnej oraz w cichych zalewach rzek naszej kołysankowo-szmaragdowej Ojczyzny radzieckiej...

...Krótko mówiąc, pojechaliście na ukryte wśród łąk jeziora, w szemrzące sitowia i ciche — ciche zalewy rzek.

Zrozumiały, że wzięliście ze sobą strzelbę (takie coś, co strzela), naboje i rozmaity inny sprzęt myśliwski umożliwiający celne strzelanie do ptactwa, a mianowicie: plecak, chleb, konserwy, ogórki, pomidory, z dziesięć jaj ugotowanych na twardo i, oczywiście... stopkę. Stopkę bierze się po to, jak wiadomo, by wylewać nią wodę, która może przeniknąć do czółna myśliwskiego...

Oczywiście nie jedziecie sami, lecz w towarzystwie, składającym się mniej więcej z pięciu łbów — wiadomo bowiem, że dzika kaczka lubi trafiać do garnka w wyniku działalności zespołowej...

W wagonie (ewentualnie autobusie) pierwsze słowa, które docierają do was, to:

— Cholera jasna! Znów zapomniałem stopki!
A wy macie?

— Mam!

— To jak będziemy razem — pożyczycie? A jak zostanę sam, to będę ciągnął „z flachy”.

Dzika kaczka niezmiernie lubi, by ją zabijano o ci-
chym zmierzchu, gdy słońce przekroczyło granicę
wieczoru, ominęło purpurowo czerwony widnokrąg
i przesłało ostatnie złote pozdrowienie przed uda-
niem się na spoczynek... To wieczorem... A wczes-
nym rankiem, rano — raniusieńko, gdy szary brzask
pokrywa świat, dzika kaczka zrywa się z legowiska,
marząc, aby jak najszybciej nadzieć się na wasz
strzał.

Myśliwi nazywają tę porę: wieczornym i poran-
nym „brzaskiem”...

O tej porze słyszycie nad sobą, przed sobą, za so-
bą, z prawa, i z lewa — ni to poszum, ni to poświsł
kaczych skrzydeł.

Raptem — bach! i tam — bach! i tu — bach! i je-
szcze raz — bach!

Powiadam wam, niezapomniane chwile.

Na wieczorny „brzask” obowiązkowo się spóźni-
cie. To już jak amen... Wychodząc z domu — co ja
mówię — już w przededniu wyjazdu macie przeczuc-
cie, że się spóźnicie na wieczorny „brzask”. Paku-
jąc rzeczy w dniu wyjazdu musicie coś koniecznie
zostawić i gdy przed samym odjazdem wybiegacie
z domu, mknąc na dworzec czy do autobusu, na py-
tanie znajomych „dokąd pędzisz?” odpowiadacie:
„Biegnę, bo chcę zdążyć na wieczorny „brzask” —
i zasuwacie dalej kłusem...

Co tu dużo gadać, musicie się spóźnić i basta. I do
jeziora podchodzicie w chwili, gdy kaczki „wyłączy-

ły motory", umyły zęby, odmachały wieczorną gimnastykę, wykapały ciała w zimnym jeziorze i przytuliły głowy do wodnych lilii gotowe do snu...

Ale to na was nie robi najmniejszego wrażenia. Nie ma się czym przejmować, bo nad każdym jeziorem wśród zielonych łąk zawsze się znajdzie sępa lub stóg pachnącego siana... Wybieracie wygodne miejsce. Rozgarniacie siano, rozkładacie płaszczyki i walicie się na wznak. Teraz spoglądacie w ciemno-granatowe niebo i marzycie...

No i marzcie sobie na zdrowie, a nam pozwólcie przygotować się do rannego „brzasku”...

— Towarzysze, nie omieszkajcie z wieczora się przygotować, by nie było rano zamieszania... Na sygnał — wszyscy chwytają strzelby i na stanowiska. Ale gdzie moja... stopka? Cholera, znowu zapomnieli włożyć?

— A ja, widzicie nie zapomniałem. Taką już mam zasadę, stopkę zawsze przywiązuję do plecaka... Powiem wam, że jak się zapomina stopkę, to więcej się człek namartwi, niż gdyby pozostawił fuzję... Tu na świeżym powietrzu szeroko się oddycha, a teraz ciemno i nim się spostrzeżesz, to we „flasze” pozostanie puste dno!...

I oto się zaczynają najprzyjemniejsze chwile polowania na kaczki...

Starzy doświadczeni myśliwi ciągną swe nieskończone opowieści.

Wspólną cechą myśliwskich opowiadań jest to, że wszystkie bez wyjątku są faktami, naprawdę miały miejsce „i jeżeli wam opowiem, to nie uwierzycie, a jednak, mimo wszystko — to fakt”.

Wysoko na niebieskim firmamencie jakiś kosmiczny chłopaczek ciska w czarną, ciemną otchłań set-

ki gwiazd, po których pozostają złote smugi, ze skrzypem sunie Wielki Wóz, stopniowo blednie Droga Mleczna, a pod stogiem z myśliwskich opowieści snuje się misternie utkana koronka...

Lekko się tu oddycha pełną, swobodną piersią...

Głos opowiadacza stopniowo ucicha, urywa się nagle i zamiera...

— O czym tak myślisz, Iwanie Iwanowiczu?

— Myślę o Ameryce. Tam dopiero technika!

— A mianowicie?...

— Mówią, że tam wynaleźli dubeltową stopkę.

I znowu zapada cisza...

Wszyscy śpią.

Wczesnym rankiem, gdy na świecie panuje szary świt dostajecie kuksańca pod żebro:

— Wstawaj! No, wstawaj!

— Khe! H-m!

— Wstańże, do diabła!

— Hm-m!

— B-b-bach!

Z panicznym wrzaskiem „lotnik — kryj się” — zrywacie się z legowiska i biegniecie...

— A niech was diabli, to ja do kaczora strzelałem.

— Spudłowałeś?

— Rozumie się! Spróbuj trafić, kiedy taka czereda umyka do schronu. O mały włos sam wpadłbym do jeziora.

Poranny brzask...

Wszystko zależy od waszych umiejętności, mistrzostwa i doświadczenia...

Wiadomo, kaczka — ptak latający...

Jakżeż ją zestrzelić?

Zwyczajnie — bijąc w oko!

Bach! — i do torby. Bach! — i do torby.

A jak szczęście nie dopisze, czyli to bach-bach! się nie uda, to nie bierzcie tego do serca. Wracając z polowania obowiązkowo idźcie przez targ, albo widząc u kogoś z myśliwych kilka kaczek, rzućcie mimochodem:

— Nie droższe chyba od piętnastu rubli sztuka?

Bo jak wrócicie, to i tak rodzinka zgryźliwie rzuci:

— Drogie dziś pewnie kaczki?!

Ale nie zwracajcie na to uwagi. Od razu bierzcie się do gotowania czerniny...

W pierwszym rzędzie musicie kaczkę oskubać.

Najlepiej w pokoju, gdzie pracujecie. Z pierzem nie będzie kłopotu — otwórzcie na oścież drzwi i okna. Wiatr podchwyci piórka i pofruną... Ot i macie oskubaną kaczkę i pokój — pierzynie...

Z oskubaną kaczka — biegiem do mamy, żony czy siostry, Zresztą obojętne — w co kto zasobniejszy:

— Mamo, oskubałem! Ugotujcie czerninę!

A gdy mama czy żona złapie się z jękiem za głowę:

— Człowieku, to nie kaczka, lecz kura — odpardujcie z przekonaniem:

— Co wy tam wiecie... Jak mówię kaczka — to kaczka! Teraz wszystkie takie! Jarowizowane...

— A czemu ma poderżnięte gardło?

— Czemu? Czemu? Wszystko chcielibyście wiedzieć. Leciała, a jak spostrzegła, że w nią mierzą, to z rozpaczy wzięła i sama się poderżnęła... I co was tu dziwi? Szybciej, bierzcie się do gotowania.

Jedno wam tylko pozostaje: jeść zupę!

A jak ją jeść?

Zwyczajnie — łyżką!

A jak już sprzątniecie do czysta talerz, to połóżcie się na kanapie i weźcie się do czytania „Notatek Myśliwego” Iwana Turgieniewa.

Polecam — cudowna książka!

L I S

Najlepiej polować na lisa zimą, kiedy taka bieluśka — biała puchowo-miękka kołdra przykrywa uśpioną ziemię.

Futerko lisa staje się wówczas gęste — gęste, błyszczące i puszyste, a jak wiadomo, na lisa polujemy właśnie ze względu na to futerko, które zgodnie z naukową nomenklaturą zwie się — boa.

Lisy spotykamy u nas wszędzie — na łąkach, wśród błot, w lasach i zagajnikach.

W ciągu wieloletniej praktyki myśliwskiej nieraz spotykało się lisy w wyżej wspomnianych miejscach i tam się do nich strzelało.

Wybieracie się więc na lisy.

Z tego też względu oświadczacie w domu:

— Wybieram się na lisy. Józef twierdzi, że w Srebrnym Jarze widział dwa mioty. Pojadę — kropnę ze cztery-pięć sztuk i futerko dla ciebie, jak znalazł. To, powiedzmy, jeśli będzie cztery. A, przypuśćmy, że ubiję pięć, to i dla mnie kołnierz.

Polowanie na lisy, to nie żarty. Należy się ubrać ciepło, bo poluje się zimą i często trzeba długo czatować na stanowisku zanim się upoluje tego przeche-rę. Lis bowiem kołuje, zatacza kręgi i zanim psy go dopadną — można zamarznąć na kość.

Trzeba wiedzieć, że zwierz póki go psy wykurzą i pogonią — krąży. Obojętne — czy to zając, lis, czy wilk. Każdy z tych zwierzaków zataczając krąg zawsze wraca na miejsce, skąd go psy wykurzyły. A więc nie wolno myśliwemu biec z psami za zającem, lisem czy wilkiem, lecz trzeba stać kołkiem na stanowisku, aż zwierz nie skończy kołowania i nie wróci do legowiska.

Jak wiadomo, psy prześladują zwierza głośno — i jak tylko szum pogoni się zbliża, wiedzcie — ofiara leci wprost na was.

No, wtedy nasłuchujcie czujnie.

Słyszycie szczekanie?

I oto w krzakach mignęła czerwonoziłota wstążka niczym błyskawica.

— Bach! — i nic nie ma...

Zając zatacza nieduże koło, lis — nieco większe, a wilk — nawet duże.

Nieraz trzeba długo czekać, dlatego radzę — ubierajcie się ciepło.

No, jesteście już ubrani.

W domu mówią:

— Wciąż jeździsz i jeździsz, strzelasz i strzelasz, psy trzymasz, ale lisa srebrnego ma Anna Iwanowna. Oni i fuzji nie mają, i psów nie trzymają — a lisa ma takiego, że aż oczy wyłażą z zazdrości.

— Dobra, dobra. Zobaczysz, napatoczy się srebrny — to go ciachnę. Tylko, że u nas srebrne rzadko się trafiają. Prawie wcale.

— Tak, wcale?! Idź no do komisju, to zobaczysz..

— Zlituj się, na Boga! Chcesz abym z ogarami wybrał się na polowanie do komisju? Dla ciebie wystarczy i rudy.

— A północnych pieśców tam nie ma?

— Są, a jakże!

— Jakie, białe czy niebieskie?

— Bure! Jedynie na dalekiej północy lisy przybierają biały lub niebieski kolor. Tak jak i kuropatwy: u nas są szare, a na północy — śnieżno-biełuśkie, oślepiająco białe... Podobnie z lisami...

No, widzicie sami, że przygotowanie do polowania na lisy nie jest łatwą rzeczą...

W krótkim kozuszku, filcowych butach i czapce na lisim futerku wychodźcie z ciepłej, zacisznej chałupy Józefa i walcie wprost do Srebrnego Jaru, gdzie:

— Bóg mi świadkiem, że są dwa lisie mioty.

Józef — to stary, doświadczony traper, bliski kumpel, który w swoim życiu:

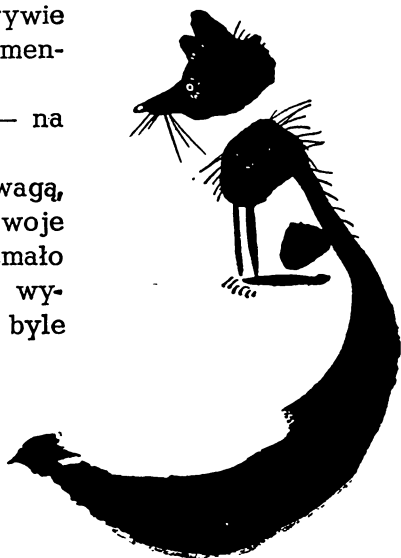
— Tylem zabił wilków, lisów i zajęcy, że trudno by było je wszystkie zliczyć.

Świta. Przymrozek. Śnieg skrzypi. Do Srebrnego Jaru od chałupy Józefa trzy kilometry.

Wyjrzało słońko. Na białutkiej, bezkresnej pokrywie zaświeciły miriady diamentów...

Dokuczaj i Oprych — na smyczy.

Dokuczaj idzie z powagą, spokojnie — ma już swoje lata, dużo przeżył i niemało zajęcy, lisów i wilków wytropił — trudno go byle czym zadziwić.



Ale Oprych to nowicjusz — nagle skoczy w przód, to się odwróci i podskakując próbuje położyć swoje przednie łapy na waszej piersi, po czym znów wybiega w przód.

Oprych jest wyraźnie zdenerwowany.

Wyrywa się i żałośnie — tęskliwie skowyczy:

— Puść mnie — daj pobiegać, pozwól nacieszyć się życiem. Spójrz jak wszędzie biało, przyjemnie, widzisz, jak śnieg błyszczący?! No daj mi poswawolić.

Józef, pykając fajeczkę radzi:

— Psy spuścimy ze smyczy z tamtej strony, koło gruszy, byle nie z wiatrem. Pójdiesz nieco w przód, za gruszą, i staniesz w leszczynie, a ja przejdę na tamtą stronę i usadowię się za tamtym krzakiem tarniny. Pamiętaj, spuszczaaj psy, gdy będę już na miejscu. Zresztą dam sygnał, gwizdnę po cichu.

— Dobrze!

— Jak wyskoczy zając, nie strzelaj. Najpierw rozprawimy się z lisami. Chyba że psy by się zważały z kusymi — wtedy nie ma rady: bij w zająca i ogary wrócą na miejsce.

— Zgoda!

W leszczynie jest cicho — zacisznie...

Wokół stanowiska ubija się śnieg, bo trzeba mieć szeroką perspektywę. Należy baczyć na wszystkie strony, bo lis może wyskoczyć i stamtąd, i zowąd, i z przodu, i z tyłu...

Dokuczaj wyciągnął się na śniegu przy nodze, a Oprych się napiął jak struna, podniósł łeb i węszy...

— Jakież to zapachy, Oprychu, docierają przez różowe nozdrza do twego rasowego mózdzku? No, powiedz? Może zapach fiołków bijący z pysznej kity

przebiegłego lisa lub ciężki smród wilka-głodomora, a może niewyraźny wyziew szaraczka-nieboraczka, drżącego w lekkim półśnie? No? Leż, Oprychu, spokojnie.

Rozglądacie się wokoło...

Od choiny biegnie wąski łańczuszek — trop i urwał się gdzieś obok gruszy.

Wiewiórczy.

Może śpi teraz biedactwo słodkim snem, przykryte w dziupli gruszy listkiem i śnią się jej sosnowe szyzki i orzeszki słodziutkie...

Dalej nieco pobiegły w kierunku wąwozu jeden za drugim dołki, gdzieniegdzie delikatnie zarysowane na śniegu „kresczkami”.

To lisek wracał do wąwozu po nocnym polowaniu...

Aha, więc jest.

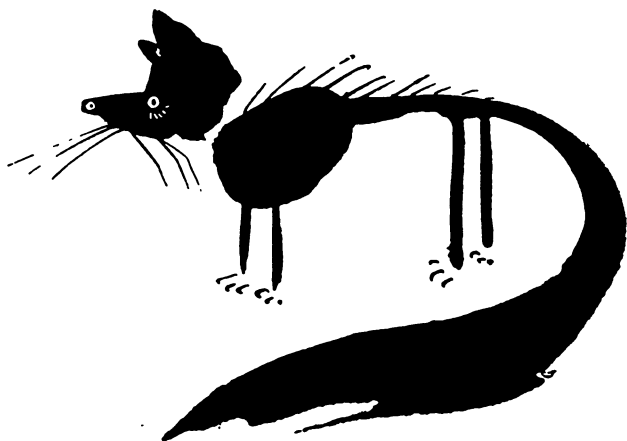
Cichy gwizd.

Józef dał znać, że jest już na miejscu.

Spuszczam Dokuczaja i Oprycha.

Naprzód, zuchy! Tfu-tfu, na psa urok...

Trzy minuty naprężonej ciszy... Pięć... A cisza trwa...



Raptem dociera do was przeraźliwy skowyt Oprycha i nerwowo-chrapliwe basowanie Dokuczaja.

— Hau!

Oprych tropiąc zająca czy lisa zawsze skowyczy jednakowo — histerycznie, Dokuczaj zaś jak poczuje zająca wydaje początkowo lekkie „skawu — skawu”, później — spokojne „hau” i dalej już równomiernie szczeka: „Hau-hau-hau”.

Aha, pobiegł..

Dokuczaj tropiąc lisa wydaje pierwsze „hau” bardziej nerwowo i pędząc za nim szczeka nieco częściej i wyższym timbrem niż za zającem.

A Oprych, czy za zającem, czy za lisem, stale zawodzi histerycznie:

— Ajaj-ja-jaj! Aj-ja-jaj!

Pognali więc lisa.

Puls z 72 uderzeń zaczyna bić 90, oczy wylazły z orbit „świdrując” leszczynę i fuzja trzęsie się w rękę...

— Uspokój się! — szepczecie sami do siebie. — Spokojnie!

Nareszcie pierwsze futerko biegnie wprost na was.

Wylatuje z lekkim trzaskiem z leszczyny jakieś pięćdziesiąt metrów przed wami...

Rudawoczerwony na oślepiająco białym tle... Nie biegnie, lecz leci z wyprężoną kitą i wyciągniętą mordką.



— Bach! — jeden tylko sus i po czerwonym ani śladu — jeno białe tło...

Wylatuje Dokuczaj, a za nim Oprych.

Dokuczaj zerka w waszą stronę i widząc, że spu-
dłowaliście warczy złowrogim basem i biegnie dalej.

Oprych za nim.

— Ajaj-jaj-jaj! Aj-jaj-jaj!

Futrzany kołnierz przemknął przez wąwóz i tylko
biała kita fajtnęła z tamtej strony leszczyzny.

Dokuczaj prawie siedzi na kicie.

Lis biegnie w kierunku Józefa.

— Stary, uważaj!

Nagle:

— Bach!

Dym i śnieżna kurzawa zasłoniły Józefa.

— Wal! — krzyczę. — Powtórz, stary, dla pew-
ności!

— Leży na mur-beton — odpowiada z triumfem
Józef.

Zrywam się z miejsca, mknę przez krzaki do wą-
wozu, sapiąc wspinam się pod górę i dolatuję do
Józefa.

— No, leży, co? — pytam.

Józef patrzy gdzieś w bok i nie mówi, lecz wystę-
kuje.

— Leży! Tam! Za tarniną!

Biegnę w kierunku tarniny...

Dokuczaj podskakuje na jednym miejscu i ciągnie
lewą nogę.

Padam w śnieg.

A gdzieś daleko, z drugiej strony wądołu Oprych
zawodzi — skowyczy.

— Ajaj-jaj-jaj! Aj-jaj-jaj!

Ugania się za kołnierzem.

Wracam do domu w starym kaszkiecie Józefa.
Lisią czapę zgubiłem, przebiegając przez krzaki...

W domu mówią:

— Kołnierz-boa? Futerko lisie?! Była w domu jedna jedyna lisia czapa, to i tę przepolował! Kto wymyślił te przekłete fuzje?

— Dobra, gadajcie sobie na zdrowie — myślę w duchu — gderajcie. Niechaj się tylko Dokuczaj wyliże — to znowu pojedziemy po lisie futerka.

ZAJĄC

Złota jesień... Ach, jak nie chce się opadać liściom z drzew. Biedactwa pogrążone w smutku zalały się krwią i pokryły szkarłatem cały las.

Smętnie postępuje dąb, zadumał się przed snem zimowym jesion, ciężko wzdycha klon, a żółto-zielona, kędzierzawa brzoźka o bielutkiej kibici — hen tam, na skraju lasu zaprasza kokieteryjnie na schadzke Lewitana, a może prosi Czajkowskiego o symfonię?

Spóźnione żurawie kreślą wysoko na niebie figury trygonometryczne, pytając się swoim „kru-kru”:
— No, jak bracie, przyjacielu miły, słyszysz?
Odlatujemy!

Złota jesień...

Zajac już zdążył odwiedzić kuśnierza, który przyszył na wyliniałych nogawkach łąty z wełnianych gałganków, wyczyścił mu uszy i pazurki, a do ogo- na przyfastrygował pomponik.

A wy tymczasem nabijacie grubym śrutem nabo- je, wyciągacie z szafy ciepłe portki i marynarkę, smarujecie ciężkie buciory, drzecie na onuce grube gacie, odrzucacie precz letnią cyklistówkę i pięściami rozciągacie ponury kapelusz...

Podczas gdy w polowaniu na kaczki doniosłą rolę odgrywały pomidory i ogórki, to tym razem rolę ta przypadnie słoninie i kielbasie.

Jedynie stopka pozostaje ta sama.

Podczas polowania na kaczki, jak wiadomo stopka służy do wylewania wody z czółna, natomiast gdy się poluje na zające, przy pewnym doświadczeniu, można za pomocą stopki jak przez lunetę podziwiać widnokrąg, bowiem gdy patrzycie przez dno, widok miejscowości wydaje się niesłychanie wypukły.

Wspomniane wyżej przedmioty, zarówno twarde, płynne jak i wyskokowe, rozkładacie na kanapie i chodząc liczycie je po kilka razy, chcąc sprawdzić czyście czegoś czasami nie zapomnieli.

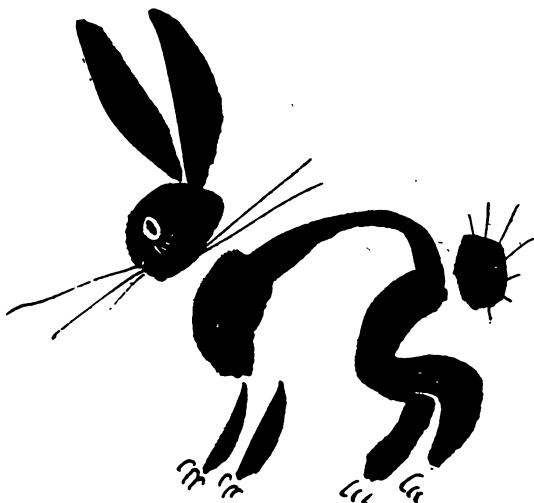
— A więc spodnie są! I buty!... Znaczy się i onuce... I naboje... Słonina i kielbasa też! Hm... czy słoniny i kielbasy nie będzie za mało?

— Wystarczy! Aż zanadto — wtrąca rodzinka.

— No, a gdzie stopka?

— Leży, tu obok plecaka.

— Bój się Boga! Włóż szybciej do plecaka, bo się jeszcze gdzieś zawieruszy. Zdaje się, że wszystko. No to wcześniej wyjdę, by zdążyć na pociąg.



Ubieracie się szybko i wszystko wkładacie do plecaka.

— Bądźcie zdrowi! Główka do góry! Za dwa — trzy dni wrócę!

— A gdzie masz fuzję?

— Rety, gdzie moja fuzja?!

— Podparłam nią stół, bo jedna noga się złamała...

— Rany boskie, kto widział, by fuzją nogę od stołu podpierano?

— Nic jej się nie stanie. Powiedz, jaką mamy z niej korzyść... Bo, to...

— Dobra, dobra! Dość! No, wszystkiego najlepszego. Aha, dowiedz się od Katarzyny, jak ona szpikuje zajęcia słońcą, bo sknocisz... I kup słońcy co najmniej na trzy zajęcia.

— Na trzy?...

— No to na pięć. Mam zasadę ubijać do pięciu. I pojechaliście....

II

Zasadniczo na zajęcia poluje się trzema sposobami: na pomyka, z psami i na zasiadkę.

Na pomyka można polować zarówno indywidualnie jak i zespołowo.

Idziecie, powiedzmy, przez pole, oziminę, czy burzan „na deptaka”, tropiąc zajęczka, który jak wiadomo w dzień leży, wypoczywa. Jak się tylko zbliżacie do jego legowiska, kusy wyskakuje...

W towarzystwie zaś, czyli w zespole, najlepiej stosować metodę „kotła”, to znaczy posuwać się łąwą, takim półkolem, aby skrzydła obławy zawsze były wysunięte naprzód i poprzedzały środek. Jeżeli,

na przykład, zając wyskoczy w środek obławy, to ma jedno tylko wyjście — wprost na patelnię...

A więc jak lepiej polować — indywidualnie czy zespołowo?

Według mnie — jedna cholera!

Indywidualnie — pudłujecie sami — kolektywnie zaś — pudłujecie zespołowo.

Nadzwyczaj ciekawą rzeczą jest polowanie na zające z psami.

Kiedy się ma takie psy, to się je spuszcza do lasu czy parowu, a one podnoszą zająca i biegną „głosząc zwierzynę”. Wtedy stajecie na drodze, którą biegnie zając i... pudłujecie.

Ale piękno polowania na zające z psami polega nie tylko na pudłowaniu...

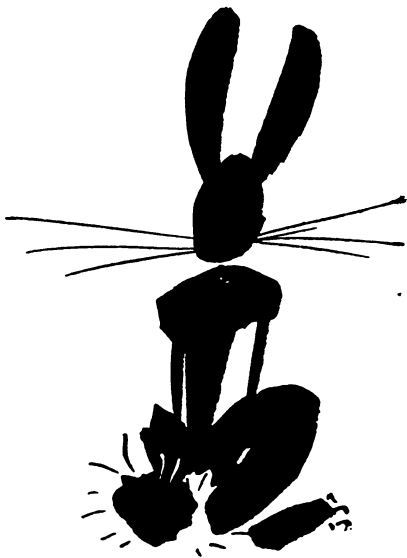
Trzeba wam wiedzieć, że gdy cała ta zgraja psów goni zająca, to wydaje wam się, że trafiliście na wspaniały koncert w filharmonii. Koncert nigdzie

nie spotykany i nie słyszany. Flet wydaje słowicze trele, trąbka wywodzi całą gamę, bas warczy, baryton huczy...

„Ileż ciepła, ileż werwy w głosach tych...”

Ech, gdyby muzycy w naszych orkiestrach tak żarliwie grali, to by dopiero wychodziły symfonie!

Zasłuchaliście się, serce chce wam wyskoczyć z piersi, płomień ogarnął mózg, a wy pudłujecie, pudłujecie i pudłujecie...



Na zasiadkę wychodziecie, gdy wokoło panuje już zmierzch.

Wychodziecie w olbrzymim garbowanym kożuchu, a gospodarz zapytuje:

— Może burkę włożycie?

— Skądże, dziękuję. Nie jest znowu tak zimno. Wiatru wcale nie ma. Kożuch mam z kołnierzem. Ciepły ten kożuch, a jak go podpaszę, to wiatr nie przeniknie.

I sadowicie się obok ogromnego stogu słomy...

Noc jest ciemna, orzeźwiająca. Na niebie, nad stogiem — gwiazdy, na ziemi, pod stogiem — zające.

Usiedliście i owinęliście się pledem.

— No, nalatujcie kupą zajaczki, który ma ochotę!

Wszędzie cicho...

Nagle gdzieś w sąsiedniej wsi ktoś wyciągnął:

„Toczyła-a-a się...”

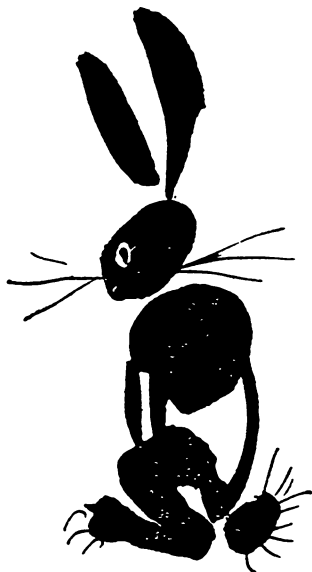
I znowu cisza... †

Opatulacie się szczelniej kożuchem...

Wpadacie w zadumę...

Mimo woli z serca się wyrывa:

„Oj, wyrzyj, wyrzyj jasny księżycu,
jak koło młyńskie...”



I znów zaległa cisza.
Skłaniacie głowę wciąż niżej i niżej...
W kożuchu ciepło, jak w uchu...
A na sercu przyjemnie...

Nagle słyszycie nad samym uchem:

- Dzień dobry! Zasnęliście?
- Dzień dobry! Oj, czyżbym spał?
- Chodźcie, śniadanie na stole.
- No, to chodźmy.
- A gdzie wasza fuzja?
- Rety, nie ma fuzji?...

Poszukiwania nie dają rezultatu. Strzelby nie ma.

— Ta-ak! U nas tylko na to czekają... Grunt, aby frajer zasnął. Wyśledzą, znaczy się, capną i szukaj wiatru... A może gdzieś wypłynię?...

— Oj, nieprzyjemna historia. Nie mówcie chociaż o tym nikomu!

III

Ale zająca mimo wszystko do domu przywieźliście.

- A gdzie twoja fuzja? — pyta rodzinka.
- Nawalił kurek, dałem do naprawy.



Wieczorem spożywacie zająca naszpikowanego słoniną. Przy stole atmosfera świąteczna. Uroczystość: pierwszy zając w tym sezonie!

Na kolację zaprosiliście, oczywiście, wiernego przyjaciela, towarzysza wypraw łowieckich.

— No, wasze zdrowie!

— Trzymaj się!

Kolacja zjedzona i spoglądacie błagalnie na przyjaciela. Ale ten przez roztargnienie, żegnając się rzuca:

— A nie zapomnij jutro przynieść forszę, którąś pożyczył na zająca! Wiesz jak z pieniżkami...

WILK

Mysłiwy, któremu po raz pierwszy w życiu nadarza się okazja wzięcia udziału w polowaniu na wilki, powinien zapamiętać na zawsze starą ukraińską gadkę ludową:

„Kto się wilka boi — niech nie wyścibia nosa z chaty”.

Wilk to krwiożerczy, okrutny drapieżnik, ale mimo to nie trzeba go się bać.

Kondrat Mrugnijokiem, stary i doświadczony łowca wilków, opowiadał i pouczał, że wilk — to nadzwyczaj płochliwe i bojaźliwe zwierzyisko.

— Posłuchajcie — mawiał Kondrat. — Jak wam wiadomo, mieszkam na chutorze i to akurat na samym skraju lasu. Moja zagroda dla owiec dotyka niemal że leszczyzny. I oto wywęszyło wilczysko moje owce. Głuchą nocką przebił zbój dziurę pod strzechą i skoczył między owieczki. W zagrodzie, oczywiście, podniósł się gwałt i harmider. Owce: m-e-e-e! Krowy: w oborze: m-u-u! Tylkom usłyszał, migiem śmignąłem do zagrody. Patrzę, a tu coś szarego z cichym szelestem przemknęło obok. Chciał wyskoczyć przez otwór, ale złapałem ci to za ogon, rozumiecie, a to był wilk. Mówię wam — wilk, to tchórzliwa bestia! Taka wydarzyła mi się za przeproszeniem,

przykrość. Mówcie, co chcecie, ale mimo wszystko wilk jest płochliwy!

Według mnie zaś nie jest to jeszcze najmocniejszy argument, przemawiający za tchórzostwem wilka — bo, powiedzmy, kto wie, co by się stało, gdyby na ten przykład wilk capnął znieścacka Kondrata, przypuśćmy nie za ogon, lecz za coś miękkiego z tyłu. Ale mimo to, wszyscy znaleźliśmy Kondrata jako człowieka odważnego i silnego duchem...

I chociaż osobiście uważam, że wilk nie jest znowu taki płochliwy, to jeszcze raz powtarzam:

— Nie bój się wilka!

Polowanie na wilka jest nie tylko misją zaszczytną i honorową, ale też i obowiązkiem myśliwego, bo powiedzcie, któż z was nie zarumieniłby się i nie spuścił oczu w dół, słysząc:

— Też mi myśliwi, wciąż w domu kołkiem sterczą, a w chutorze Wierzbowym wczoraj wataha wilków trzy owce zagryzła i cielakowi cały pośladek wyżarła!

— O rany! A gdzie się znajduje ten chutor?!

— Od Zahaczynówki będzie jakieś pięć kilometrów. Kiedy dojedziecie do kurhanu, to droga skręci w lewo, właśnie tą drogą walcie. Przejedziecie przez wądół i skręćcie w prawo i tak wzdłuż wądółu, nie zwracając nigdzie wjedziecie wprost do chutoru Wierzbowego...

— Czy te wilki są w samym chutorze?

— Skądże! Zapytajcie tam o kulawego Stefana — ten już wie, gdzie wilki. On w ogóle wszystko wiel Stary wyga! Prawdziwy myśliwy, jeno karty łowieckiej nie wykupił.

— Czy to czasami nie chodzi o Wyszczypany Las? — wtrącił Kondrat.

— Pewnie! A gdzież będą, jak nie w Wyszczypanym Lesie... Sporo tam lasu i pełno parowów. Oczywiście, że w Wyszczypanym. Wilków tam chmara. Macie co zapalić?

— Proszę, zapalcie.

— Słuchajcie — wtrącił znowu Kondrat. — Jeżeli mowa o Wyszczypanym Lesie, to po co mamy jechać do chutoru Wierzbowego? Wyszczypany Las leży nie opodal chutoru Rozległego, a Wierzbowy znowu za Kędzierzawym Jarem... Może te wilki są z Kędzierzawego?

— Kto ich tam wi! I na co ta gadka. Wiadomo, wilk — to zwierz! Pewnie, że racja! Jak amen w pacierzu spotkacie je tam, w Kędzierzawym! Tam gęsty jar i spory wądół. Wilków tam od cholery. Jak zawyją — to włosy dęba stają!

— No jak tak, to skoczymy do Wierzbowego. Znaczy się do Kędzierzawego Jaru...

— Walcie, walcie do Wierzbowego! Zapytajcie o kulawego Stefana, tam go już wszyscy znają! O, ten wam wszystko powie i pokaże! Psolutnie wszystko wi, bo to stary myśliwy, ino teraz karty nie wykupił!

— Jedziem! Żegnajcie! Dziękuję za informację!

— Bywajcie! Dajcie jeszcze zapalić waszej machorki! Wspaniała, pachnie macierzanką.

— Proszę, zapalcie.

— Dziękuję! Jak przejedziecie wądół, to walcie wzdłuż niego, aż do Wierzbowego Jaru. Czy to żarty! Mamo kochana, trzy owce i pośladek cielaka, taki ubytek dla państwa. Tępcie te rabusie bez litości! Zniszczcie! No, szczęśliwej podróży!

Minęliśmy więc jar, skręciliśmy w prawo i jadąc wzdłuż niego, nie zwracając już nigdzie trafiliśmy wprost do chutoru Wierzbowego.

— Tprrr! Sie macie, babuniu!

— Dzień dobry!

— Nie wiecie, gdzie tu mieszka kulawy Stefan?

— Krzywy?

— Właśnie! Myśliwy!

— Tera on nie myśliwy, papirka nima. A gdzie mieszka... Zara. Jedna... Druga... Trzecia... Czwarta... Piąta... Szósta... Siódma... Za czwartą chatą zawrócicie w uliczkę. Tam już traficie pod samą chatę krzywego Stefana.

— Serdeczne dzięki, babuniu.

— Ino dziś niedziela, chyba w domu go nima, pewnikiem poluje.

— He, cóż? Jakoś tam będzie!

Za czwartą chatą nie ma wcale uliczki. Stanęliśmy. Babunia krzyczy:

— Gdzieście ta pojechali! Minęliście!

— Babuniu, toż to nie czwarta, lecz trzecia chałupa?

— Patrzajta! Zmyliło mnie! Myślałam, że czwarta. Trochę niedowidzę. Nie tylko ulicy, ale nici nie potrafię już nawlec.

Zawróciliśmy w uliczkę i wprost wjechaliśmy w podwórze krzywego Stefana.

— Szanowanie! To wy jesteście tym słynnym myśliwym?

— Myśliwym, oczywiście, jestem, ale nie zdążyłem załatwić karty łowieckiej. Jestem myśliwy, ale bez karty... Dlatego też nie poluję teraz...

— Słyszeliśmy, że wilki wam tu życie zatruwają.
— Chwała Bogu, tymczasem nic o tym nie słyszałem. O wilkach nic. Zajączki, po prawdzie, to się trafiają. Dość często nawet. Czasem kropnie się li-sa... Tak, zdarza się...

— A kto zagryzł trzy owce?

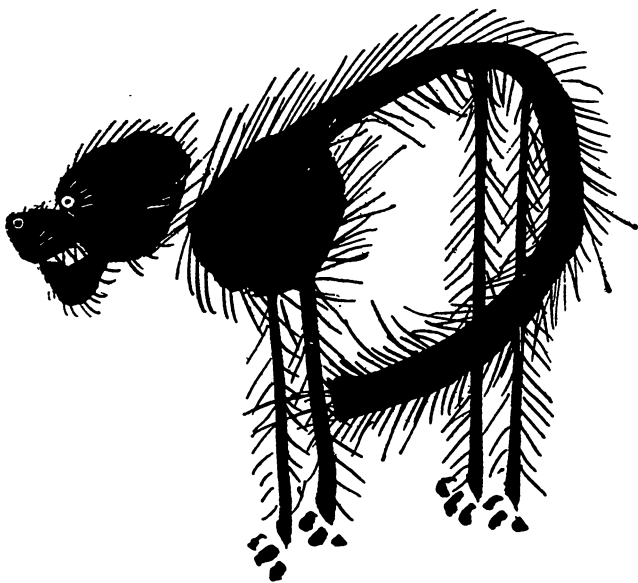
— Trzy, powiadacie? Nie słyszałem. Prawda, przedwczoraj nie zrzeszona chłopka, Kunegunda, świniaka zabiła, ale to nie owca...

— A kto cielakowi pośladek zeżarł?

— Chyba wam coś się przyśniło. Bujda, dalibóg, bujda! Dziesięć lat tu pracuję jako starszy oborowy. Za uderzenie chudoby ciężko karzę, tym bardziej za wyżarcie pośladka. Ktoś widocznie znowu pode mną dołki kopie!

— Skądże, panie Stefanie. Nam tylko chodzi o wilki.

— Cóż z tym mają wilki, kiedy ja przeciętnie mam od krowy 2000 litrów mleka, a tu ci — „po-



śladki wyżerają". Jak mi nie dowierzają, to niech zdejmą!

Nareszcie nieporozumienie zostało wyjaśnione. Wyklarowano Stefanowi, o co chodzi i człek przestał się denerwować.

— Znaczy się, nie słyszano tu u was o wilkach? A może w pobliżu są?

— Słuchy chodzą, że piętnaście kilometrów stąd, w chutorze Popowskim — wyją... I mówią, że komuś tam pośladek odgryzły... Ale komu nie wiadomo. Cielakowi czy komu innemu?!

III

— Jedźmy, towarzyszu, do chutoru Popowskiego! Tam pewnie coś zorganizujemy — powiada Kondrat. — Oj, prawda, nieraz tam odbywały się obławy na wilki. Mam też tam znajomka — myśliwego — posiada fladry i zna wszystkich naganiaczy. Ten potrafi wezwać naganiaczy z kołatkami i urządzi obławę. A ja, jako mistrz i specjalista w tej dziedzinie — nauczę was polować na wilki.

— Jedźmy, jedźmy! Jak już trafiliśmy tu, to jedźmy! Może nie zdążymy dziś, to przenocujemy i jutro wyjdziemy na łowy.

Jedziem!

Kondrat, stary łowca wilków, snuje opowieść o tym, jak urządził obławy na całe watahy basiorów i wader.

— Oj, mówię wam, jaka to ciekawa rzecz obława na wilki. Wiadomo, wilk zalega w dzień w gęstym mszarze. Tam się też wyleguje do nocy, po czym wychodzi na żer i odgryza cielakom pośladki, dusi owce i zagryza żrebaki. Doświadczony myśliwy wie

już zawczasu, gdzie go szukać. Nasłuchuje wycia, czasami sam wyje po wilczemu, wabi zwierzyne, aby się odezwała. Kiedy się drapieżnik odezwie — krycha! Teraz już wiadomo, gdzie jest i zaczyna się obława. Zjeżdżają się myśliwi i schodzą naganiacze z kołatkami... Z obu stron legowiska przeciąga się sznury z kolorowymi chorągiewkami. Natomiast tam, gdzie nie ma sznurów z chorągiewkami, z jednej strony ustawia się myśliwych na strzeleckich pozycjach, a z drugiej strony, z daleka zachodzą naganiacze. Spuszcza się też, jeżeli są, psy... Zwierzyna pójdzie na myśliwych, nie zboczy, bo się boi chorągiewek na fladrach... A więc wszystko przygotowane, myśliwi na stanowiskach. Naganiacze czekają w skupieniu na sygnał... W lesie cicho — cicho... Czasem trzaśnie gdzieś sucha gałązka i spadnie z choiny, zastuka — zapuka dzięcioł... Stoisz i „świdrujesz” oczami swój odcinek, chcesz wiedzieć: gdzie ścieżka, gdzie polana, aby być zawczasu przygotowanym do strzału, gdyby pokazał się wilk. Zwierzę może pójść wprost na myśliwego, może też zboczyć nieco w prawo, czy lewo. No, a każdy wie, że z prawa i lewa są koledzy — myśliwi. Rzecz więc w tym, by nie pozwolić wilkowi przejść na pozycję sąsiadów. Idzie bowiem o to, by wilk był twój. Tylko twój! Już, zaczęła się obława. Nagle las ożył: krzyk hałas, rwetes. Gdzieś trzeszczy leszczyna, psy ujadają, starszy naganiacz strzelił... Dla naganiaczy to już nie las, lecz piekło. — Ha-la-la! Hu-hu! Ho-ho! Ech! Uch! Ach! Ta-ra-ra! Piekło przesuwa się w twoim kierunku, wali na ciebie. Trzymaj się teraz mocno, brachu! Każde trzaśnięcie gałęzi — działa na nerwy. Upadek szyszki z jodły — to bomba atomowa. Skok zajęczy — co najmniej skok żyrafy. Lis — to tygrys.

A tobie nie wolno strzelać ani lisa, ani zająca. Niech cię Bóg broni! Najcięższą zbrodnią jest strzelać podczas obławy na wilki w inną zwierzynę. Nareszcie, idzie wilk. Poznaję go, bracie, nie tylko za pierwszym wejrzeniem, ale ze stu metrów wyczuwam jego chód, czuję go całym jestestwem. Nagle w zaroślach mignął — szary. Jeżeli idzie na mnie, to uważajcie go za trupa. Kładę go pierwszym strzałem. Po tym — drugiego, trzeciego... A gapa, lebiega — to go nawet nie spostrzeże. Inni znów, na widok wilka nawiewają, najczęściej na grusze. Zdarza się... Poniektórzy zaś to i psa czasami kropną. Też bywa. Podchodzą bliżej naganiacze:

— No, ileście kropnęli?

— Trzech!

— A ilu biegło?

— Dwóch!

— Ech, lebiegi...

Na skraju lasu zaczyna się nowa opowieść o dawnych łowach...

— Pamiętacie, wtedy...

— Ano, innym razem to...

— Kiedyś znów...

Ech, szkoda gadać...

Kondrat aż się spocił od tych opowieści. Błyszczą mu oczy. Cały się zarumienił.

A słuchacze? Oczarowani...

IV

Idziemy, znaczy się, do lasku Popowskiego.

Po obu stronach drogi, hen — hen — gdzie oko sięgnie, kędzierzawi się zielone runo ozimej pszenicy.

Za tą zielenią na wzgórzach czernieją niby wronie skrzydła zorane pola spółdzielcze...

Z góry raptem zjeżdża galopem wóz. Kobyła mknie jak wściekła. Na wozie stoi chłop, w czapce na bakier, w lewym ręku trzyma lejce, w prawej dłoni ściska bat, groźnie zwisający nad głową kobyliny.

— Wio-o-o! Wio-o-o!

— Gdzie tak mkniesz, bracie!

— Wilk!

— Gdzie?

— Na wzgórzach, tam w pszenicy. Myszkuje, ścierwo. Wio-o-o!

Kondrat, stary wyga, doświadczony łowca wilków wnioskuje:

— Nic nadzwyczajnego. Rzecz zupełnie możliwa. Stare, rozwścieczone basiory, które się niczego nie boją, wychodzą czasami w dzień na pole pomyszkować. Zdarza się. No, szarpnij Piotrze konia... Może naprawdę wilk. Zobaczymy...

Truchtem wspinają się nasi myśliwi pod górę. Z prawej strony drogi pszenica skłonem spada ku rzece. Za rzeką, wśród wierzb ukrył się chutor.

— Jasne! On! — krzyknął Kondrat.

Istotnie, wśród dużego łąnu pszenicy ozimej stoi szary zwierz. Schylił łeb i łapą rozgrzebuje ziemię.

— Chłopcy — szepnął Kondrat. — Jeden chyłkiem przeskoczy przez rzekę... Drugi stanie trochę dalej. A ty, Piotrze Iwanowiczu, staniesz za wzgórzem, ja zaś zajdę od tej wierzby. Powolutku zaciskajcie koło i naganiajcie go na mnie. Bądźcie pewni, nie spudłuję. A ty, Pawle, przechadzaj się drogą i śpiewaj po cichu, trzeba, aby zwrócił na ciebie uwagę. Jazda!

Wszyscy, chyłkiem, jak nakazał stary wyga, pobiegli na swoje miejsca i zaczęli powoli okrążać wilka. Nie był to tchórzliwy zwierz, widocznie doświadczony szatan, bo wcale nie okazał zdenerwowania. Widząc zbliżających się ludzi zaczął się powoli wycofywać. Wtedy, w gorącej wodzie kąpany Piotr nie wytrzymał i poleciał za nim. Biegł w lekkich podskokach w kierunku chutoru, wprost na Kondrata.

Kondrat dopuścił zwierza na jakieś pięćdziesiąt metrów i palnął.

Zwierz nagle przeraźliwie zawył: „aj-jaj-jaj”, podskoczył i padł na ziemię.

Wówczas Kondrat strzelił po raz drugi...

Raptem z ogródka obok skrajnej chałupy rozległ się rozzwierający krzyk:

— Ta-to! Sukę nam zabili!

Na huk strzałów wybiegło z chaty pięć osób...

W tym miejscu pozwólcie, że na pięć minut przerwę swoją opowieść...

Po pięciu minutach wszystko się wyjaśniło:

— Pięćdziesiąt rubli, ani grosza mniej...

Stanął na trzydziestu.

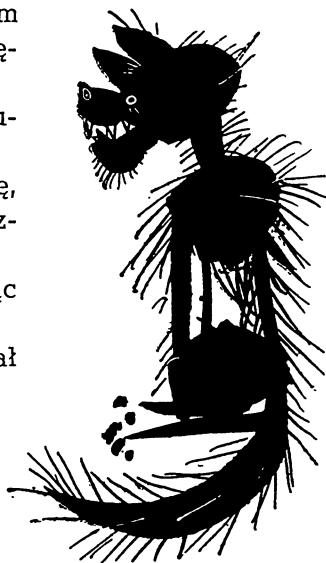
— Ale weźmiecie też siedem szczeniactków, bo kto je teraz będzie karmił?

Już w drodze, Kondrat kontynuował:

— Nic w tym dziwnego nie widzę, że wilk w dzień wychodzi pomyszkować po polu...

A po dłuższym namyśle zwracając się niby sam do siebie dodał:

— Tylko że tamten nie miał szczeniactków...



NIEDŹWIEDŹ

Niedźwiedzia u nas na Ukrainie spotkać można jeszcze tylko w ogrodzie zoologicznym. Z tego też względu polowanie w naszych lasach na słonkę, zająca czy lisa jest obecnie rzeczą bezpieczną.

Zapewniam was, że gdyby w naszych kniejach spotykano dotąd niedźwiedzia, to większość myśliwych sprzedałaby swoje strzelby. Albowiem trzeba wiedzieć, że nasi łowcy — to przeważnie ludzie cisi, tkliwi, o subtelnych poetyckich duszach, niedźwiedź natomiast jest drapiezną bestią, ryczącą: z samego strachu można skonać.

Jeden z moich przyjaciół, bardzo namiętny myśliwy, gdyśmy otrzymali telegram z obwodu Wołogodzkiego następującej treści: „Wytropiliśmy i obstawiliśmy aż trzy niedźwiedzie barłogi stop wyjeżdżajcie niezwłocznie stop czekamy” — pamiętam, długo wpatrywał się w ten telegram, po czym rzekł:

— Jak się chyba domyślasz, nie jadę... Na beka — sam wiesz, lubię polować, bekas jest ptaszkiem łagodnym — ani to nie ryczy, ani skalpów z ludzkich głów nie zdziera. A niedźwiedź — to ogromne brunatne zwierzę i śniegu tam po pas, tak że nawet nie drapiesz przed nim. Szkoda gadać, nie jadę.

I obaj nie pojechaliśmy.

Niedźwiedzie bywają brunatne, szare i białe...

Brunatne ryczą po lasach, które zaczynają się w pobliżu Briańska...

Szare nazywają się „grizzly”, ale, dzięki Bogu, żyją gdzieś bardzo daleko.

Znowu białe przebywają na morzach i oceanach północnych... A to też jest Bóg wie gdzie i strasznie tam zimno.

Mimo wszystko jednak zabicie niedźwiedzia przynosi myśliwemu tak wysoką cześć, honor i sławę, że każdy z nich chciałby upolować misia chociażby w marzeniach.

Pomyślcie: po pierwsze — wspaniała niedźwiedzia szynka i znakomite niedźwiedzie mięso, a po drugie — niedźwiedzia skóra...

Wyobraźcie sobie taką ogromną, włochatą skórę w waszym pokoju leżącą tuż obok kanapy.

Wy zaś siedzicie na tej kanapie, a naprzeciw siedzą wasi przyjaciele.

No i powiadacie do nich:

— Tego oto niedźwiedzia upolowałem osobiście.

Przyjaciele, jak to się najczęściej dzieje w takich wypadkach, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia i któryś z nich obowiązkowo musi chrząknąć.

Jednakże nie zwracacie uwagi na to chrząkanie i dalej opowiadacie, jak początkowo niedźwiedź wyskoczył z barłogu i strzeliliście do niego żakanowską kulą, ale niestety zraniliście go tylko. Rozwścieczony miś skoczył... Nie tracąc panowania, złapaliście rohatynę, mocno oparliście się o śnieg i uderzyliście złą bestię. Lecz drzewce pękło. Wówczas złapaliście drugą i wbiliście ją niedźwiedziowi w pierś. Co robić? I druga pękła. Wtedy chwyciliście trzecią. Czu-

liście już ciężki oddech zranionego zwierza nad samą głową... Ano, złapaliście trzecią rohatynę...

Na całe szczęście w tym miejscu weszła do pokoju wasza małżonka:

— Uprzejmie proszę do stołu. Napijemy się herbatki.

Po wyjściu z pokoju najbliższy przyjaciel powiada do waszej małżonki:

— Stokrotne dzięki za tę herbatę, bo małżonek szanownej pani chwyciłby niechybnie czwartą rohatynę.

Powiedzcie, ileż to musi znieść człowiek za prawdę?!

II

Dobry mój znajomy, towarzysz S., chociaż nie jest myśliwym, opowiedział mi o niezwykle pomysłowym sposobie polowania na niedźwiedzie.

Nie słyszałem dotąd o tak łatwym sposobie zdobywania niedźwiedziego futra i pełnego wora niedźwiedziego mięsa, ale jak na mój rozum, warto się nim zainteresować, tym bardziej że przy zastosowaniu go nie grozi myśliwemu żadne niebezpieczeństwo. W każdym bądź razie myśliwy nie ryzykuje drogiego życia.

Okazało się, że dorosłe niedźwiedzie namiętnie kochają matematykę.

Otóż, przede wszystkim trzeba wytropić miejsce gdzie niedźwiedź poluje lub się ukrywa. Następnie trzeba wziąć spory arkusz dykty i napisać na nim dużymi cyframi następujące rozwiązanie matematyczne:

$$2 \times 2 = 5$$

Po napisaniu tego zadania bierzecie młotek z gwoździem i przybijacie tablicę do jesionu czy dębu. Oczywiście tuż obok ścieżki, którą najczęściej chadza miś. Przybijać należy ją niezbyt wysoko i niezbyt nisko, lecz w sam raz tak, aby niedźwiedź ją spostrzegł.

A więc dykta przybita.

Teraz migiem zasuwacie do domu i zaprzęgacie konia do wozu i jedziecie na miejsce, gdzie wisi tablica. Tylko nie podjeżdżacie zbyt blisko do ścieżki. Ukrywacie konia z wozem gdzieś w pobliskim jarze lub za stertą słomy, sami zaś kłusem wracacie do lasu i ukrywacie się w pobliżu tablicy. Teraz pozostaje jeno czekać.

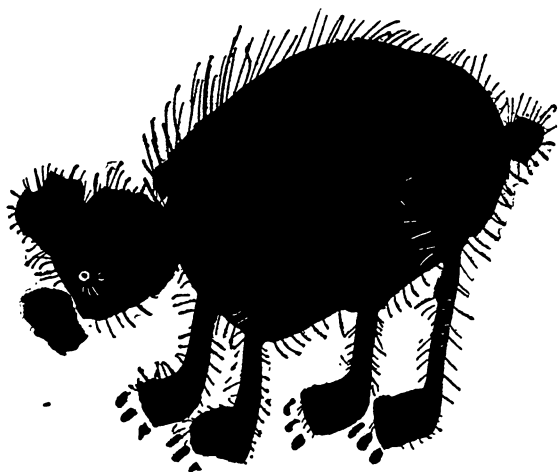
Nareszcie, miś wyszedł na przechadzkę.

Coś trzeszczy w leszczynie, zlatują gałęzie i w ogóle panuje niesamowity harmider.

Nic się nie bójcie, czekajcie spokojnie.

Niedźwiedź, powiedzmy, natknął się już na dyktę z zadaniem matematycznym.

Doświadczeni myśliwi polujący w ten sposób na niedźwiedzie powiadają, że jak tylko miś ujrzy te



$2 \times 2 = 5$, zaczyna się z nim dzieć coś niesamowitego.

To się cofa parę kroków wstecz, to zbliża się do tablicy, spoglądając na liczby ze zdumieniem. Zaczyna przecierać łapą oczy, wpatruje się nieprzytomnym wzrokiem w tablicę i kiedy już przekonuje się, że istotnie rozwiązanie zadania jest $2 \times 2 = 5$, łapie się za głowę i zaczyna bić się z myślami.

Łamie głowę, i łamie i łamie...

A wy siedzicie — i ani mru-mru.

Dotąd, aż niedźwiedziowi głowa nie pęknie i rozleci się w drobny mak.

Wówczas następuje kulminacyjny punkt. Złaziście z dębu, podchodzicie blisko do niedźwiedzia, patrzycie — miś leży, przeniósł się w zaświaty, bo mu pękła głowa z powodu nieprawidłowego rozwiązania zadania matematycznego.

Teraz biegniecie po konia, podjeżdżacie do ścieżki, zarzucacie niedźwiedzia na wóz i uroczycie zawozicie trofeum do domu.

Niektórzy myśliwi, którzy nie chcąc zdradzić tajemnicy bezkrwawego polowania, wbijają martwemu niedźwiedziowi sztylet wprost w serce.

— Wiecie, natknąłem się — opowiadają później — na niedźwiedzia. Rzucił się na mnie, ale ja nie straciłem zimnej krwi i w straszliwej walce wręcz — pokonałem go jednym pchnięciem sztyletu w serce. Spójrzcie, oto leży.

I myśliwy pokazuje sztylet pokryty niedźwiedzią krwią.

Moim zdaniem takie postępowanie jest nieuczciwe: po co te tajemnice, opowiedz lepiej całą prawdę o tym, jak pokonałeś niedźwiedzia.

Pamiętaj, przestrzegaj zawsze starej tradycji my-

śliwskiej, mów zawsze i stale tylko prawdę! Tylko prawdę!

Powtarzam jeszcze raz, że wspomnianego sposobu osobiście nie sprawdziłem, ale każdy, kto się nim posługiwał, twierdzi, że jest nadzwyczaj skuteczny.

No, spróbujcie towarzysze myśliwi.

Dykta niedroga, natomiast niedźwiedzia skóra jest niesłychanie wartościowa.

A mięso też nie tabaka.

III

Był jeszcze jeden niezły sposób na zdobycie niedźwiedziej skóry, ale wątpię czy teraz uda go się zastosować, bo gruntownie zmieniło się życie w naszej Ojczyźnie.

Jak wiadomo w starych, przedrewolucyjnych czasach Cyganie-koczownicy pojawiali się na targach, jarmarkach czy odpustach z oswojonymi, pokazującymi rozmaite sztuczki niedźwiedziami:

— Pokaż no, Misiu, jak pijany chłop wraca z karczmy do domu?

— No, Misiu, zatańcz jak pijana baba!

Misio pokazywał, bo przez nozdrza miał przeciągnięte żelazne kółko i każde szarpnięcie sprawiało mu niemiłosierny ból... Obecnie Cyganie nie chodzą już u nas z niedźwiedziami. Teraz Cyganie kulturalnie gospodarzą w kołchozach i grają z talentem na scenie swego cygańskiego teatru „Romen” w Moskwie.

Otóż za starych carskich czasów wydarzyła się następująca myśliwska przygoda.

Ale lepiej niech nam opowie uczestnik owej przygody, który mi ją niegdyś zrelacjonował...

„...Zdarzyło się to w miesiącu wrześniu, w sam raz na Matki Boskiej Siewnej.

Polowaliśmy z Trochimem Swirydowiczem i Siemionem Pietrowiczem na słonki niedaleko miasteczka Klonowa. A na Matki Boskiej Siewnej rokrocznie odbywał się w Klonowie bogaty odpust. Idąc przez miasteczko, na przedmieściu spostrzegliśmy obóz cygański z końmi, wozami, niedźwiedziami i dzieciaczkami. Cyganie mieli dwa dość duże niedźwiedzie. Odpust wcale nas nie interesował, bo wyjechaliśmy z miasta wyłącznie na polowanie. Ano, polujemy! Kropnąłem zająca i parę słonek. Przyjaciele też coś tam upolowali. Pod wieczór zebraliśmy się, by coś przegryźć. Siedliśmy na skraju lasu i ucztujemy. Dość długo ucztowaliśmy. Już słońce się skryło za Gulowską Górą, a my wciąż ucztujemy. Trofim Swirydowicz już zaciągnął «Zebrali się wszyscy burłacy», a my dalej ucztujemy. Trofim Swirydowicz jak se pódje, to lubi bardzo śpiewać. Odśpiewaliśmy «Zebrali się» i «Huczy i jęczy...» i «Hyla — hyla». Kiedy zaśpiewaliśmy «Wezmę nową spódnicę i wyjdę na ulicę» Trofim Swirydowicz poszedł w prysiudy. Odtńczyliśmy, ale dalej ucztujemy. Trofim Swirydowicz chciał ponownie przy piosence «Kędzierzawa Katarzyna czepiała się Marcina» drugi raz skoczyć w prysiudy. Ale nie zdążył nieborak, bo wyciągnął się jak długi. I trzepnął głową o torbę myśliwską ze słonkami.

Wyciągnął słonkę z siatki, długo się jej przyglądał i powiada nareszcie:

— Pta-szy-szynko! Ko-cha-cha-na! Czemuś marr-

twa! Czy jesteś zwwwierzęciem?! Czyś nie-dźz-mieź-wieź?!
I raptem jak się poderwie:

— Chcę nieź-mieź-wieźia! Chłopcy — ryk-
nął — na nieź-wieź-mieźia! Za mną-ą!

My za nim.

Wszystkiego dokładnie już nie pamiętam, a zresz-
tą i wtedy niezbyt dokładnie wiedziałem, o co cho-
dzi. Pamiętam tylko, że otoczyli nas Cyganie i głoś-
no krzyczeli. Niedźwiedź gryzł mnie, ja gryzłem
nieźwiedzia. Ktoś mnie za nogi ciągnął i kogoś ja
za coś ciągnąłem.

Zbudziłem się — ciemno. Namacałem z prawa,
niby broda Siemiona Pietrowicza.

— A gdzie — myślę — są nieźwiedzie?

Przez szparę, widzę, przenika światło.

Skoczyłem do szpary, patrzę — stoi człek, morda
jak rzeszoto i wąsy jak wiechcie. Zapytuje go:

— Gdzie my, w barłogu?

A ten powiada:

— Dam ja ci zaraz barłóg. Taki ci dam barłóg, że
zaryczysz jak nieźwiedź! Co, chlew komendanta
policji, to dla ciebie barłóg?!

Błyskawicznie uprzy-
tomniłem sobie, o co
chodzi...

W ciągu całego życia
raz tylko zapolowałem na
nieźwiedzia.

— Niesłychanie intere-
sująca rzecz. Tylko że nie-
zmiernie kosztowna —
dodał smętnie uczestnik
wspomnianej przygody..."



Tego rodzaju polowanie na niedźwiedzia teraz już się nie uda: nie ma obecnie, chwalić Boga, cygańskich niedźwiedzi na odpustach...

Chyba że w ogrodzie zoologicznym?

Ale tam polować nie ma sensu.

W każdym bądź razie, nie radzę.

IV

A mimo wszystko, przyjemnie jest leżeć na kanapie, okryć się niedźwiedzią skórą i opowiadać z uśmiechem:

— Sam osobiście kropnąłem tę sztukę! Jak Boga kocham, sam...

DZIK ALBO ODYNIEC

Czemu, kiedy się mówi „dzik” — to człowiek nie odczuwa strachu, ale jak się powie — „odyniec”, to po plecach przechodzą ciarki i włosy na głowie dęba stają?

Widocznie samo słowo „odyniec” jest straszne i sama nazwa kojarzy się już z ogromnymi kłami oraz groźnym chrząkaniem...

— Odyniec!

Na Połtawszczyźnie niedaleko sławnego grodu Hadiacza leży wieś Odyńczyk i chociaż nie jest ona dorosłym „Odyńcem”, jeno małym „Odyńczykiem”, to mam takie wrażenie, że miejscowi chłopci żyją w wiecznym strachu, aby ten mały „Odyńczyk” nie wyrósł z czasem na dużego „Odyńca”! Bo, wiadomo...

Najgroźniejszy dzik — odyniec — zaciekły knur — indywidualista, stary i doświadczony kiernoz zjawia się w stadzie tylko wtedy, gdy dziki wyprawiają wesele.

Natychmiast po przybyciu do stada rozgania za pomocą swoich straszliwych kłów kawalerów — knurków, wszyscy przepasują go ręcznikami, a on siedzi chrząka i mlaska, podobnie jak niegdyś na weselach chłopów pańszczyźnianych siadywał pan

dziedzic i tak samo jak tamten czeka spokojnie na przysługujące mu prawo „pierwszej nocy”.

Zuchwałę knury-odyńce, o straszliwych i dużych kłach-szablach, wyrastają na mocne i okrutne postrachy mokradeł i lasów.

Swoimi kłami potrafią posiekać psa na boef a la Strogonoff. Myśliwi zaś na widok odyńca najczęściej biorą na muszkę jakiś tam dąb czy gruszę i w mgnieniu oka wdrapują się na czubek, siedząc na drzewie cicho jak trusie.

A w jakiś czas po tym będąc już po czwartym kielichu, opowiadają:

— Wczoraj polowałem na odyńca! Idę, wiecie, przez trzciny, nagle — sapanie! Patrzą, piętrzy się jakaś góra! W pierwszej chwili wydawało mi się, że to wykoleiła się lokomotywa o opływowych kształtach i zasuwa po bagnie. Ale, kiedy się uważniej przyjrzałem — odyniec.

Znacie mnie — nie straciłem zimnej krwi i palnąłem żakanowską kulą, która tkwiła w lewej lufie mojej strzelby. Zwierz tylko potrząsnął łbem i kula rykoszetem znalazła się obok mnie. Tylko się trochę spłaszczyła. Ale ja nie drgnąłem... Wiecie, że nie jestem podszyty tchórzem?! Ta-ak... Nawet okiem nie mrugnąłem i chwyciłem swój fiński nóż. Tylko się zamierzyłem, a odyniec powiada do mnie: „Chłopie, złaż z drzewa, po coś tam wlaż?” Ta-ak... Oczywiście, ja...

— Czekaj no! Nie śpiesz się! Co ty pleciesz? Kto powiedział? Z jakiego drzewa?

— Oj, nie przerywajcie! Skoczyłem i wbiłem finkę pod lewą pachę, wprost w serce! „Aha — ryknąłem — mam cię — ryknąłem — dzi-dzi-dziku! Nie z tych jestem — ryknąłem — co się boją twojej

szabli!" Skoczyłem mu na grzbiet i siedzę! Siedzę na oklep i gałęzi się trzymam! Wówczas zwraca się do mnie ten odyniec. „Zejdź, chłopie, z mego grzbietu — powiada — przecież dzik pobiegł do Filipowego Jaru". — Odpowiadam na to: „Aha — bracie — chcesz, abym z ciebie zlął! Szkoda gadać, nie zejdem z twojego grzbietu — ryknąłem — aż cię nie wykończę!" Wtedy znowu on powiada: „Puść mnie — jestem dzi-dzi-kiem — o-dyń-ce-e-em"...

Na szczęście weszła gospodyni:

— Drogi panie, może pan poleży trochę, odpocznie?

— Nie zejdem!... — ryknął pogromca dzików.

Ale koledzy wzięli go pod ręce i grzecznie położyli na kanapie.

I leżąc na kanapie dobijał jeszcze swego odyńca:

— Nie zejdem, póki cię nie dobiję!

Jednakże nikt się nie dowiedział, czy w końcu zlął z grzbietu straszego odyńca, czy dotąd trzyma się gałęzi.

Odyniec — to straszny zwierz, tak że nawet po czwartym kielichu nie tak łatwo zeskoczyć z jego grzbietu...

Dlaczego właściwie wciąż mówimy o dziku — odyńcu, posiadaczu straszliwych kłów?

Dlatego, że my — myśliwi, jesteśmy niesłychanie odważnymi ludźmi i jeśli polujemy na dzika, to chcemy mieć potem czym się pochwalić...

Wyobraźcie sobie wiszący na ścianie w waszym pokoju ta-aki łeb odyńca ze straszliwymi kłami-szablami.

Jasne, że po takim sukcesie nimb sławy otacza nie tylko was, lecz spada też na cały wasz ród i przyszłe pokolenia.

Oczywiście, że polując na odyńca, można mimochodem ubić z dziesięć mniejszych dzików, ale głównym i wyłącznym celem waszej ambicji łowieckiej jest odyniec.

Warchlaków nie zabijacie!

Zabicie warchlaka jest tym samym, co postrzelenie na jeziorze nietotnego kaczątka...

Dla prawdziwego myśliwego to shocking...

Odyniec, mimo okazałej wagi i krótkich nóg nadzwyczaj szybko biega.

Słyszałem kiedyś od swego przyjaciela — myśliwego, doświadczonego pogromcy ptactwa i grubego zwierza, opowieść o tym, jak szybko biega odyniec.

Przyjaciół mój nazywa się Kuźma Demianowicz.

— Otóż — rozpoczął swoją opowieść Kuźma — polowaliśmy gromadą w Babim Jarze. Wiecie chyba, że Babi Jar graniczy z jednej strony z przepaścią... Ponad jarem ciągnie się las. Tuż za przepaścią leży bagno porośnięte trzciną, a dalej płynie rzeczka. Polowaliśmy na zające i lisy, czyli krótko mówiąc, na wszystko, co się da. Był z nami miejscowy dzia-
dek — myśliwy. Minęliśmy jar, doszliśmy do przepaści, usiedliśmy na pagórku i odpoczywamy. Pali-
my. Mówię wam, krajobraz piękny jak w bajce. Gdzie rzucisz okiem — cudowne piękno! Przez trzcinę wyziera gdzieniegdzie duże modre oko — jezior-
ko, a za nim, dalej, srebrzy się błękitną wstążką —
rzeczka... Po przeciwnej stronie rzeczki — lasek...
Obok lasku — chutorek... Trzy małe chatki... Na

wzgórzu tuż za chutorkiem pasą się owce... Dziewczęta w chutorze śpiewają „Czarnomorca”:

Wywiódł mnie bosą,
I wciąż zapytuje:
Czujesz mróz, dziewczyno,
Czy go nie czujesz?...

Patrzyłbym tak stale i nigdy bym się nie napatrzył... Słuchałbym tak bez końca i nie mógłbym się nasłuchać...

Siedzieliśmy, słuchaliśmy i podziwialiśmy krajobraz...

Aż nagle odzywa się miejscowy dziadek:

— W tym oto bagnie — powiada — jest stado dzików! Włóczy się też tam ogromny odyniec!

— Jak jeden mąż — ciągnął opowieść Kuźma — skoczyliśmy z miejsca!

— Gdzie?

— Ta tu, w tym bagnie!

— Nie może być?! — powiadamy. — Widział je kto?

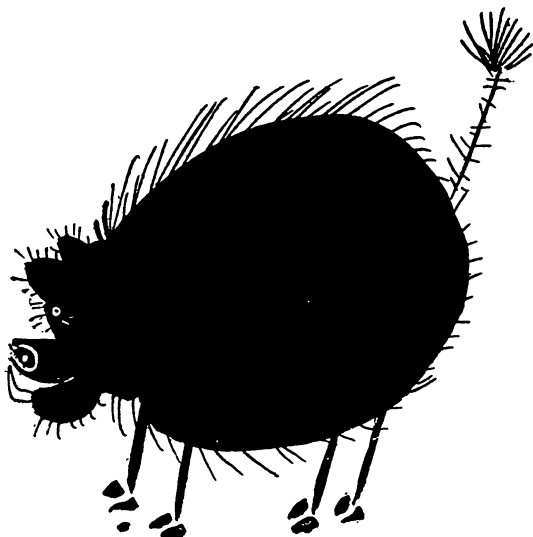
— Pewnie! Mało to one szkody wyrządziły w ogrodach i polu? Nie mało nam poniszczyły warzyw i buraków?! A odyńca sam widziałem — waży conajmniej 150 kilo! Straszny zwierz!

— Chyba się domyślacie — zwrócił się do mnie Kuźma — że natychmiast postanowiliśmy przetrząsnąć bagno, może trafimy na to stado dzików. Było nas sześciu. A więc postanowiliśmy: ja, jako najstarszy wiekiem — liczyłem już sobie wtedy pięćdziesiąt sześć lat — pójdę od przepaści w głąb trzciny i tam będę czekał, reszta zaś zajdzie z tamtej strony i będzie się kierować na mnie. Będą szli w rozsypce,

mniej więcej trzydzieści — czterdzieści metrów jeden od drugiego.

Domyślacie się pewnie, że naganiaczy nie mieliśmy — sami byliśmy naganiaczami i strzelcami. Dziadek nie chciał iść z nami: „Boję się!” — rzekł. Udaliśmy się w trzcinę, a dziadek poszedł w stronę jaru. „Może powiada — gdzieś zajączka zdybie!”. Weszłem w tę trzcinę, zrobiłem kilka kroków, stanąłem — oglądam się wokoło. Istotnie przez trzcinę biegną jakieś ścieżki — przecinając się tu i ówdzie. Prawdę rzekł — myślę sobie w duchu — dziadek... Przeszedłem jeszcze trochę dalej w trzcinę, wybrałem niewielką polankę, stanąłem i słucham... Cisza... Tylko trzcina szeleści i gdzieś nie opodał przemknął chyba szczur wodny. Po tym — znów cisza. Stałem długo, dawno już minął czas wyznaczony na spotkanie z towarzyszami — a ich jak nie ma, tak nie ma... Prawdę mówiąc, trochę się zdrzemnąłem. Stałem i drzemałem. Raptem, słyszę, coś zaszeleściło w trzcinie i chrząknęło — ażem podskoczył! Podskoczyłem, po czym zadreptałem w miejscu — nie wiem, w którą stronę wiać? Po chwili znowu coś zachrząknęło! W jednej chwili prysnąłem z trzcinę i znalazłem się na wprost przepaści... Tylko uchem dosłyszałem, że obok coś przeskoczyło z szumem i pomknęło w kierunku rzeczki. Nie miałem wiele czasu do namysłu... Wybiegłem z trzcinę i pomknąłem prosto do przepaści... Niczym chart wyskoczyłem z urwiska, dotarłem do lasku i siup — na gruszę! Usiadłem na gałęzi odwiódłem kurek, czekam. Długo, długo siedziałem, jednakże nic się nie pojawiło. Raptem słyszę, wołają:

— Ku-uźma! Ku-uźma! Ho-o-o! Gdzieś ty? Ho-ho!



— Jestem! — krzyknąłem. — Tu jestem, na gruszy! Zasiadkę zrobiłem, na dzika!

— Zł-a-a-aż!

— Nie mo-o-gę, chło-opcy! — odparłem.

Rzeczywiście, próbowałem zsunąć się z gruszy, ale nic z tego! Grusza wysoka, stara, do połowy ani sęczka, ani gałązki — sam pień. Zabijcie, sam nie wiem, jak na nią wlałem!

Bogu dzięki, nadeszli towarzysze. Ściągnęli z tej gruszy.

— No, natknęliście się na dziki? — pytam.

— Skądże! Nigdzie ich nie ma!

— Niemożliwe — powiadam. — Musieliście się natknąć... A co to chrząknęło? I to nie raz, lecz dwa razy?! Co śmignęło obok mnie z szelestem? Odskoczyło ode mnie, a ja od tego? Że chrząknęło — powiadam — to gotów jestem złożyć przysięgę. Niech mnie Bóg skarże, jeżeli kłamię?!

— To ty — zapytuje Iwan — śmignąłeś w stronę przepaści?

— Ja — mówię. — We własnej osobie! Jak chrząknęło, to pomyślałem, że odyniec i w nogi!

— Nie zdążyłem jeszcze porządnie nosa wysiękać — powiada Iwan. — Tylkom siąknął, słyszę, coś mknie z szelestem. Pomyślałem, że to odyniec i do rzeczki.

Tu nadszedł dziadek.

Skoczyliśmy do niego:

— Gdzie te dziki? Gdzie odyniec?

— Co, nie ma? — zdziwił się dziadek.

— Nawet śladu nie ma — powiadamy.

— Nic innego! Nura dały!...

— Gdzie?

— Do rzeki, pod wodę!

— Widziałeś dziadku nurkujące dziki?

— U nas nurkują! — powiada.

— No i co myślicie — rzekł po dłuższym zastanowieniu Kuźma. — Są przecież świnki morskie, mogą też być i rzeczne!

— Ot co się nam przytrafiło podczas polowania na dziki. Dotąd nie pojmuję, jak wyskoczyłem z przepaści i wdrapałem się na gruszę?! To nie żarty — pięćdziesiąt sześć lat!... Znaczy się, taki przypadek myśliwski... No a teraz, wiecie już, jak biegną odynce? O, to szybki zwierz! — dodał z powagą Kuźma.

*

Na dziki poluje się z psami — gończymi czy specjalnie do tego rodzaju łowów wyszkolonymi, ale najczęściej urządza się łowy z naganiaczami.

Kiedy, przypuścmy, wprost na was leci dzik, a nie

macie czasu, by zwać — to wtedy, rzecz prosta, strzelacie.

Koniecznien strzelać należy kulą, celować zaś w głowę lub serce. Dzika trzeba zabić na miejscu, bo ranny dzik — to niesłychanie rozwścieczony zwierz. Z rozpędu rzuca się na myśliwego, wbija swój straszny kięł prosto w pępek i z krzykiem: „Aha, mam cię draniu!” — tnie myśliwego po brzuchu, od pępka do samej piersi.

Jeżeli sam jest śmiertelnie ranny — pada tuż obok myśliwego. I obaj po cichu oddają duszę Bogu.

Potem schodzą się myśliwi, sporządzają nosze i niosą zmarłego towarzysza oraz ubitego dzika. Niosą do samochodu lub dworca kolejowego.

Ci co niosą martwego towarzysza są bardzo smutni. Żal im odważnego myśliwego, który padł ofiarą szlachetnej sportowej namiętności.

Niosący zaś ubitego dzika są w wesołym nastroju. Bowiem podobne trofeum nieczęsto się zdarza.

Jeśli się poluje wśród moczarów, gdzie na pewno znajduje się stado dzików i gdzie włóczy się olbrzym — odynec, ważący co najmniej 150 kilo, wielce skuteczną ponoć jest modlitwa, która w zamierzchłych czasach pomagała naszym przodkom — myśliwym podczas łowów (zresztą nie tylko w polowaniu na dziki, ale i na inną zwierzynę).

Oto ta modlitwa:

Wy jutrznie — jutrznice,
Nocko ciemna — ciemnico,
Zamykasz kościoły i chaty
Jak również królewskie komnaty.
Zamknij zwierzynie uszy i oczy,
Bym mógł ją podejść i ubić..

Po odmówieniu takiej modlitwy z żarliwą wiarą, z całą pewnością będziecie mogli podejść dzika, mimo to że zwierzę jest niesłychanie czujny i słuch ma jak najbardziej utalentowany dyrygent orkiestry symfonicznej.

Ze wspomnianą modlitwą można i trzeba polować samotnie na dziki, przemykając po nieznanych ścieżkach, przeskakując z kępy na kępę po grzęzawiskach porośniętych trzcina.

Na ogół zaś, powtarzam, poluje się na dzika z naganiaczami.

Zdarza się i to dość często, że dzik, czując lub widząc, że na stanowiskach stoją myśliwi ze strzelbami nabitymi żakanowskimi kulami — nie mając zbytnej pewności, czy wszyscy zdążą wdrapać się na grusze, zawraca i leci na naganiaczy.

Przebiegła bestia wie, że naganiacz oprócz kołka i niesamowitego głosu nic więcej nie ma.

Takie wypadki kończą się przeważnie szczęśliwie, najczęściej przestraszeniem, bo dzik przebiega człowiekiem tylko wtedy, gdy jest ranny. Nie będąc zaś uszkodzonym, podbiegnie, chrząknie, nastraszy i rechozcząc ze śmiechu leci dalej.

I nam się coś takiego zdarzyło. Właśnie podczas polowania na dziki! Przyznaję się bez bicia, zdarzyło się i basta!

Pognali naganiacze w moczarach wśród trzciny kilka dzików i odyńców.

Pobiegły dziki na myśliwych.

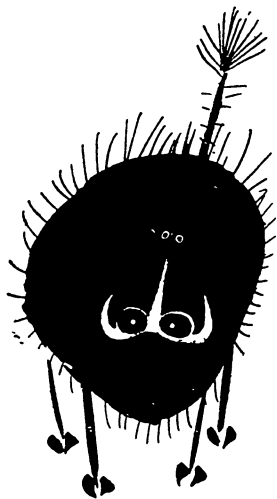
Rozległo się tu i tam — bach!

Jeden, dość spory, wagi chyba z 260 kilo, poszedł na myśliwych.

Nie powiem czy strzelano, czy nie do zwierza, bo wielu myśliwych chcąc mieć szerszą perspektywę

powłaziło na grusze. Dzik zawrócił i pobiegł w stronę naganiaczy.

Z całym impetem wpadł na jednego z naganiaczy — młodego chłopca. Naganiacz nawet nie zdążył krzyknąć: „Ratujcie, kto w Boga wierzy!”, jak dzik tknął go ryjem w pępek. Przewrócił nieboraka, przeskoczył przez niego, chrząknął, zarechotał zadowolony i pomknął dalej.



Skoczyliśmy do ofiary, a ten zbladł jak ściana, wargi mu zbieleły, cały się trzęsie i nic nie może z siebie wydusić. Powtarza tylko:

— Chrząknęło — pomknęło! Chrząknęło — pomknęło!

W końcu oprzytomniał:

Pytamy:

— No, zląkłeś się, bracie?!

— Pewnie, zląkłem się, ale nie bardzo. Można się było jeszcze mocniej przeleknąć! — i biegiem w krzaki.

Stąd wniosek, że i naganiacze powinni się mieć na baczości.

Upolowaliście dzika.

Teraz nastąpi najcięższa chwila.

Właśnie wtedy gdy odwiedzą was przyjaciele, by skosztować kawałek dziczyzny. A wy chcecie za

wszelką cenę ich przekonać, że to prawdziwy dzik, a nie zwyczajna domowa świnia.

Opowiadacie im szczegółowo, nie pomijając żadnego drobiazgu o przebiegu łowów. Jak wybraliście się na polowanie, jak jechaliście, jak znaleźliście się wśród moczarów czy w lesie, gdzieście stanęli na stanowisku, ilu było naganiaczy, jak wyskoczył dzik, jak nie straciliście zimnej krwi i strzeliliście, jak się zarył ryjem w ziemię, a potem znów wstał i pobiegł i jak jeszcze raz strzeliliście...

W trakcie opowiadania powołujecie się na naocznych świadków i pokazujecie spłaszczoną kulę tego samego kalibru, co wasza strzelba...

Wszystkie dowody świadczące o tym, że własnoręcznie ubiliście dzika.

Ale co z tego: przyjaciele żrą pełną gębą i chwałą dzika, ale nie myśliwego.

Zdajecie też sobie sprawę z tego, że wasi przyjaciele wracając do domu będą ze śmiechem opowiadać:

— Dzik?! Głupich znalazł! A propos, ile teraz kosztuje kilo wieprzowiny?

Oto jacy są ludzie.

Niewdzięcznicy!

Zżarli całego dzika, wyłopali wszystko, co było w domu. I to do tego stopnia, że gospodyni rano podnosi histeryczny wrzask:

— Ładnie, pięknie, ale która to denda (gospodyni trochę zna angielski język) wychłała pół litra nafty? Nie potrzebuję takich gości! Krycha! Koniec! Dam ci ja teraz polowanie na dziki!

A przyjaciele — nażarci i zalani — wracają do domu i jeszcze natrzęsają się i szydzą!

Fe, tak to naprawdę nieładnie!

BEKAS

Dla myśliwego bekas, to przede wszystkim pies!

Sądzę, oczywiście, że nie potraktujecie mego twierdzenia dosłownie!

Jasne, że bekas — to nie pies, lecz ptak, ale każdy myśliwy wie, że polowanie na bekasa bez psa, to nie przymierzając jak wesele bez muzyki.

Mówiąc więc o bekasie, trzeba w pierwszym rzędzie mówić o psie, bo bez niego nie tylko nie skosztujecie bekasowego mięsa, ale go nawet nie powąchacie.

Pogadajmy więc o... bekasie.

Cóż to jest bekas? Bekas — to mały błotny ptak, z białymi piórkami na brzuszku, diablo zwiczny, z oryginalnie wydłużonym dzióbkiem, długachnymi nóżkami, a gdy się go spłoszy, to zrywa się z charakterystycznym wrzaskiem i leci jak szalony zygzakami, tak jakby przedtem wypił co najmniej dwieście gram.

Ach, jaki smaczny jest bekas!

Rarytas!

A trzeba pamiętać, że bekas należy do jednego z niewielu gatunków dzikiego ptactwa, które się smaży wraz z trzewiami i patrochami: dziobek pod skrzydełko, kapkę masła — i do pieca.

A gdybyście, nie daj Boże, dodali trochę śmietany i nie daj Boże jeszcze tam czegoś — to, powiadam wam, powstaje istna symfonia, taka, że... już niezwłocznie pakujemy manele i na bekasy...

Znowu — bekas bez psa, to nie rarytas i nie symfonia, bo bez psa — nie ma mowy o bekasie.

Pogadajmy więc o... psie!

Co to pies — wszyscy wiedzą: głowa, cztery nogi, ogon i szczeka.

Porozmawiajmy więc dokładniej o psich rasach, a ponieważ mowa o polowaniu na bekasa, to pogadajmy o legawcach.

Znamy następujące psie rasy:

a) setery angielskie

b) setery gordony

c) setery irlandzkie

d) pointery

e) wyżły niemieckie

f) gryfony

g) spaniele

h) pudle. Zresztą obecnie już zwyrodniała rasa, która się raczej przeobraziła w „pundle”.

Która z nich najlepsza?

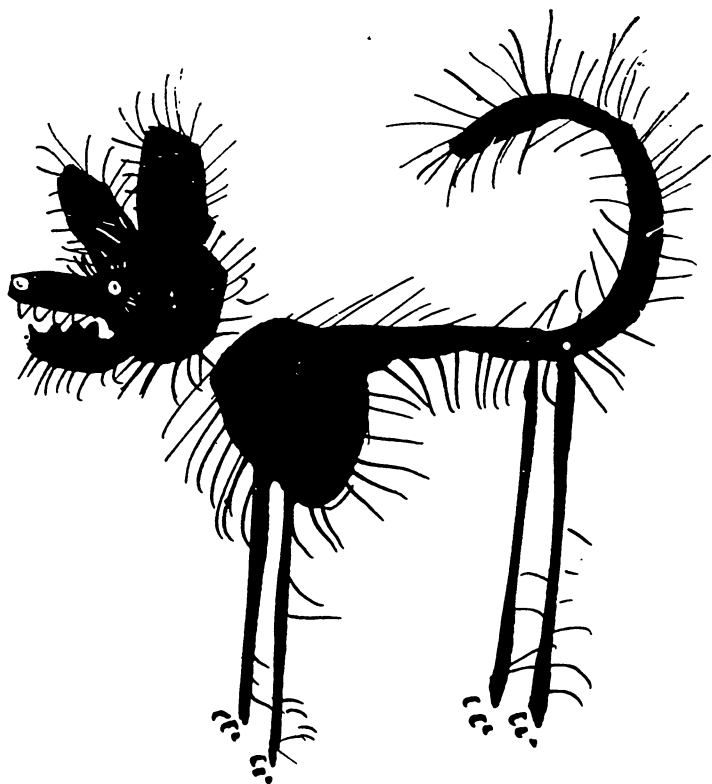
Ta, z którą chodziecie na polowanie!

Przypuśćmy, że dostaliście setera angielskiego: a więc takiego psa, którego nikt dotąd nie miał, nie ma i mieć nie będzie.

— Co za pies! Mówię wam, istny Edison! Słowo daję! Tylko posłuchajcie. Pewnego razu polowaliśmy...

I tu się zaczęło...

Waszą rzecz: chcecie — słuchajcie, nie chcecie — nie słuchajcie, ale takiego psa nie było, nie ma i już nie będzie...



Więc jakiej rasy psa wam doradzić?

Mieście sobie psa, jakiego macie lub chcielibyście mieć.

Początkujący, myśliwy-żółtodziób nie mający łowieckich tradycji we krwi, po zdobyciu strzelby, zaczyna się rozglądać za psem.

Jego teściowa, przeważnie złota kobieta, słysząc jak najdroższy zięć zapłonął chęcią znalezienia psa, uprzejmie i życzliwie (jak to teściowa) akcentując mocno sycząco-gwiżdżące spółgłoski, powiada:

— Obowiązkowo trzeba ssssetera! Akulina ma wssssspaniedego pssssa. Ten ci robi stójki! A co najważniejsze, pedant, czyścioch! Poproszszszę Akuli-

nę. Wkrótce będzie miała szszszczczczenięta! O ile na nieszszszczczęście nie powyzydychają! Najczczczystszzszszej rasy szszszczczenięta!

Za miesiąc- dwa przynoszą wam od Akuliny wssspaniałego sssetera.

Och, co za radość: pierwszy myśliwski pies w waszym życiu! Wasz! Własny!

Będziecie go pieścić, tulić, opiekować się nim jak synem, jak najdroższą osobą.

Kupicie obrozę, kupicie smycz i po pewnym czasie zaprowadzicie go do sekcji kynologicznej Związku Łowieckiego, do znawcy.

Pokażecie wasz nabytek takiemu srogiemu ekspertowi i będziecie nań patrzeć jak niegdyś w dzieciństwie spoglądaliście na ojca, gdy srogi i zafrasowany raczył łaskawie was dostrzec i co więcej przytulić.

— No, jak?! — Rasowy piesek? Co?!

Ekspert ze srogą miną długo i uważnie będzie oglądał psa, następnie przeniesie wzrok na was i powie obojętnie:

— Kundel!

— A mnie zapewniali, że to seter.

— No, seter — kundel! — ironicznie zaznaczy ekspert.

— To co z nim zrobić? — drżącym głosem zapytacie.

— Co robić? Na tej smyczy nie opłaci go się powiesić. Za droga. Powieście go na zwykłym sznurku. Ani jego ojciec, ani jego mama nawet we śnie nie widzieli setera! Obskurny kundel!

Po powrocie do domu odbędzie się krótkie i ostre spięcie z teściową, po którym staruszka zreasumuje:

— Akulina nie taka sobie kobieta — już w siód-

mym roku życia była u komunii i spowiedzi. Anim nie pomyślała, anim nie przypuszczała, że moja Luda (Luda to oczywiście wasza małżonka) tak się pomyli w wyborze przyjaciela swego życia, a ona u mnie jedna i gdzież ja się teraz podzieję i któż jej, i nie tylko jej, będzie teraz smażył pączki? Och, jacy niewdzięczni są obecnie młodzi ludzie! Jeżeli mama daje psa, to trzeba pamiętać, że to pies od mamy. Bom nie tylko mama Ludy, ale i wasza... I w żadnym wypadku nie może ten pies być kundlem, lecz jest na pewno seterem. Kundla z daleka już czuć. Daj, Ludo, muszę go powąchać!

Jak więc widzimy pies dla początkującego myśliwego to nie lada problem.

Ale potem jest już łatwiej...

Z czasem, gdy poznacie myśliwych z ich psami, kiedy się dowiecie, że żył na świecie sławny Kambuz, czarny pointer i znakomita Ala, seter angielski, i Joyce, wybitny gordon, wtedy kupicie szczeniaka, który wam najlepiej przypadnie do gustu.

Jeżeli, przypuścmy, przypadną wam do gustu pointery, to usłyszycie na pewno:

— O, Wasyl, ten ma pointera, sukę, czystej rasy kambuzyjskiej. Wiecie, sam Kambuz Pierwszy przeskoczył przez nią, gdy wylaziła z wagonu na stacji w Boryspolu.

A więc nabyliście, dla przykładu, cudownego pointerszaka.

No, a jak go nazwać?



Bezwarunkowo musicie go nazwać: Dżek, Joyce albo Steak.

Pamiętajcie, w żadnym wypadku nie nazwijcie go Burkiem czy Lalką (jeżeli to suka), czy Bobikiem, niech Bóg broni: takie imię może na całe życie spostonować waszego pieska, zwichnąć jego talent, choćby nawet był najrozkoszniejszy.

Przyprowadziliście, przynieśliście, czy przywieźliście znaczy się tego psa do domu.

— Fajny pies, co? — zwracacie się do rodzinki.

Teściowa, patrząc zmrużonym okiem to na was, to na psa, wychodzi bez słowa do swojego pokoju.

Luda natomiast, wasza żona, patrzy początkowo na swoją mamę, będącą jednocześnie waszą teściową, głaska stworzenie po główce i powiada:

— Dobry piesek! A czy wkrótce nie zachoruje na dzumę?

— Może zachoruje — odpowiadacie.

— Oby najprędzej! Mówią, że jak pies przejdzie dzumę, to już nie zdechnie.



— Tak, po dżumie nieprędko zdycha.

— Ale od samej dżumy może zdechnąć?

— Może.

— To niechże go jak najszybciej dżuma weźmie.

— A gdzie urządzimy dla niego legowisko? — zapytujecie jak najuprzejmiej.

W tej chwili rozlega się głos teściowej, naciskającej na sycząco-gwiżdżące spółgłoski:

— Dwuossobowe łózzzzeczko trzeba kupić! A może kanapę...

— Mamo — wtrąca pobłaźliwie małżonka — nie denerwuj się. I tak go weźmie dżuma!

Teraz zaczyna się myśliwska edukacja psa. Od niej przecież zależy wszystko: powodzenie polowania, piękno i rozkosze łowów z myśliwskim psem przedniejszej rasy.

Nazajutrz, gdy sympatyczny piesek osiedli się na dobre w waszym mieszkaniu zacznie się następująca dyskusja:

— Kto będzie po nim sprzątał?

— Ja nie — oświadczy kategorycznie teściowa.

— A ja dzisiaj już pięć razy po nim sprzątałam, niech go dżuma! — wtrąci małżonka.

— Ja będę sprzątał! — oświadczycie. — Gdzie się podziały wszystkie szmaty? Pełno było ścierek, a teraz żadnej?

Sprzątacie więc sami...

Przed spoczynkiem, późnym wieczorem, posprzątałiście, ułożyliście Dżeka na jego miejscu i poszliście do łóżka.

Dżek zaś tęskni za mamą, za braciszkami, za siostrzyczkami — i skowyczy żałośnie, żałośliwie.

Teściowa wyłazi z wygodnego łóża, szura po podłodze kapciami i przemawia serdecznie do Dżeka:

— Zamilcz, cholero! Bodajbyś zdechl!

Natychmiast, mimo duszącego was kaszlu, zwracacie się do pieska:

— Śpij, Dżek! Uśnij, gołąbeczku!

Na co odpowiada teściowa:

— Spij, spij, piesuniu! Spij kochany! Na wieki zaśnij cudny zwierzaczku!

Zasypiając, słyszycie, jak żona woła przez sen:

— Dżumo! Weź go nareszcie, dżumo!

I w takiej oto atmosferze rośnie i rozwija się wasz czysty, rasowy Dżek.

Pies rośnie, a wy sprzątacie.

Sprzątacie i prowadzicie go na spacer.

Nie chcąc zbyt często sprzątać, należy psa częściej prowadzić na spacer, kiedy zaś nie prowadzi się go często na spacer, to się częściej sprząta.

Wyprowadzać małego, rasowego pieska pięć — sześć razy na dwór z szóstego piętra — to nadzwyczaj przyjemny trening sportowy.

Natychmiast zabieracie się też do uczenia Dżeka różnych sztuczek myśliwskich: chodzić w nogę, aportować, szukać schowanego przedmiotu itd.

Szczególnie dobrze jest nauczyć pieska odnajdywać wasze pantofle.

Rasowy pies w ciągu 2-3 dni zgłębi tę sztukę, a po 2-3 tygodniach obok waszego łóżka będą leżeć pantofle całej rodziny plus buciki wszystkich lokatorów z wspólnego mieszkania.

To nie wszystko. Weselsze czasy nastaną, gdy waszemu pieskowi zaczną się wyrzynać ząbki.

Oto pewnego ranka budzi was skowyt psa i lament waszej małżonki, Ludy.

— Moje obstalunkowe! Boże, mój Boże! Jedyne obstalunkowe pantofle!

- Co się stało? — pytacie.
- Zjadł obstalunkowe pantofle!
- Kto zjadł?
- Pański Dzek!

W ciągu dwóch tygodni od feralnego dnia żona inaczej się nie odezwie do was, niż per „pan”.

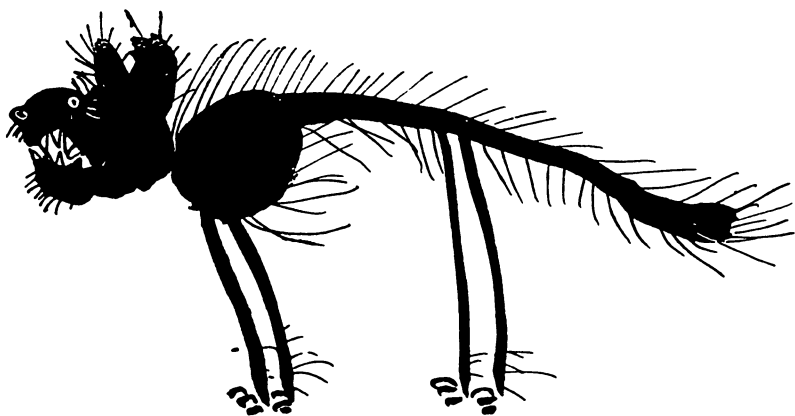
Wkrótce też nastąpi zerwanie dyplomatycznych stosunków z teściową. Z nią już nie będziecie rozmawiać ani per „ty”, ani per „mamo”. Bowiem z jej ulubionych rannych kapci pozostały tylko nie dogryzione brandzle.

Ale co to was może obchodzić? Kochacie już teraz namiętą miłością Dzeka, który aportuje, szuka rzeczy i na własne oczy przekonaliście się, że robi stójkę na widok pstrokatej kurki sąsiadki z przeciwka.

Nie zdążyliście krzyknąć „Naprzód”, a Dzek w py-sku trzyma już cały ogon pstrokatki, która skoczyła na sąsiedni daszek chlewika i przeraźliwie zainto-nowała:

— Za co, Dzek?! Za co, Dzek?! Za co, Dzek?!

Zdarza się też, że po przyjściu do domu nie chce już z wami rozmawiać nawet mały Jureczek, wasz synek ukochany.



— Co jest? Co się stało?

Milczenie. Cisza. Tylko rodzina spogląda spode łba.

— Jureczku, co się stało?

— Dżek zeżarł osiem kotletów.

Jeżeli zaś podobna historia przydarza się przed samiutkim Bożym Narodzeniem, to dowiadujecie się:

— Z indyka pozostał tylko przewielebny nosek.

— Zaczął, znaczy się, od szyjki? — odparowujecie. Bowiem, co innego możecie powiedzieć?

I tak się dzieje aż do pierwszej rocznicy urodzin waszego cudownego pieska.

Potem dobrze jest oddać psiaczka na edukację do doświadczonego tresera.

Treser, to taki człek, który kształci rasowe, myśliwskie psy. I to on właśnie uczyni z waszego Dżeka jedyne w świecie myśliwskiego geniusza.

Ale z treserem sprawę załatwiacie już sami.

Powiem wam tylko, że póki wasz pies jest u tresera, to paradujecie w starym ubraniu i zdartych butach, a małżonka wasza już nigdy nie zamówi sobie obstalunkowych pantofli.

Doskonale teraz orientujecie się w cenie krup i jagieł i dowiadujecie się, że wasz Dżek w ciągu miesiąca zżarł co najmniej cztery konie.

Nareszcie Dżek przeszedł edukację i jest gotów.

Następuje historyczny dzień: wspólnie jedzicie polować na bekasy.

— Stójka!

— Naprzód!

Dżek rzuca się we wskazanym kierunku i spod jego nogi wyskakuje... ogromna ropucha.

Wracając zaś kiedyś z polowania, opowiadacie kompanowi:

— Posyłam Dżeka: „Biegiem, szukaj, czy nie ma w tym bagnie bekasów? Dżek pobiegł, śmignął tu, skoczył tam, polatał po błocku, powęszył i wraca z wywalonym jęzorem.

— Co — pytam — nie ma?...

— Nie ma — odpowiada Dżek”.

A bekasa, proszę kolegów, smaży się bez patro-szenia, wraz z bebeczami.

— Hm! Co za pyszna, szlachetna dziczyzna! Mó-wię wam, palce lizać!

NUR

Pewnego razu w większym towarzystwie wycoczywaliśmy po rannym brzasku i liczyliśmy, ile każdy z nas nie odnalazł ustrzelonych na śmierć kaczek.

Pięciu z nas należało do kategorii tak zwanych doświadczonych myśliwych — strzelców wyborowych, z których każdy:

— Spróbuj, rzuć czapkę w górę! No, rzuć! Zobaczysz jak strzelam i przekonasz się jaką mam strzelbę! No, rzuć!

Nie znalazł się wśród nas odważniak, który by zaryzykował czapkę, ale butelki tośmy stawiali.

Nie da się ukryć prawdy — butelki stawialiśmy.

Stawialiśmy i kropka!

Najlepszym strzelcem wśród nas był ten, który:

— Też mi coś, czapka! Rzuć piąta! Zobaczysz, jak z niego pierze polec!

I to on właśnie chybił z pięćdziesięciu kroków w ćwiartkę.

Mówię o tym tak sobie, na marginesie, bo wszyscy myśliwi wiedzą, że na polowaniu nikt nigdy do pustych (tak, tak, do pustych, oczywiście, a nie pełnych) flaszek nie strzela, takiego zwyczaju wśród myśliwych nie ma... Nie ma i nie będzie. A skąd by się wzięły te butelki na polowaniu?

Jest więc zwykłym przypadkiem, być może jedynym w dziejach myślistwa, że postawiliśmy ćwiartkę (oczywiście pustą) i strzelaliśmy do niej, jak do tarczy.

Ta-ak... Liczyliśmy, znaczy się, kto ile z nas nie odnalazł ustrzelonych na śmierć kaczek.

Tak się jakoś feralnie złożyło, że po rannym brasku zasiedliśmy pod stogiem i nikt z naszej kompanii nie miał ani pierza, ani puchu.

W takich wypadkach, a wiadomo, że podobnie postępują wszyscy myśliwi — liczy się nie odnalezione kaczuszki.

Taka już jest tradycja myśliwska. Każdy z nas nie odnalazł wtedy co najmniej pięciu — sześciu krzyżówek, przynajmniej trzech cyranek i po jednej kaczce płaskonosej...

Wszyscy jak jeden mąż polowaliśmy na tym samym jeziorze i dlatego sytuacje były bardzo do siebie podobne.

— Strzeliłem, rozumiecie, kaczka kamieniem w dół i gdzieś tu niedaleko spadła. Szukałem, szukałem, ale jej nigdzie nie ma. Cóż, sitowie tu gęste, wysokie. Nie da rady! Przepadła! Bo nie ma psa. Gdyby był piesek, to miałbym i puch i pierze. Oj, miałbym... Jeszcze jak! Wiecie ani razu nie chybiłem. A tak?!

I nie tylko on, lecz wszyscy w ten deseń.

W końcu pokwékali, powzdychali i umilkli. Na to nie ma rady. Zresztą, będzie jeszcze wieczorny brzask...

Leżymy pod stogiem. Gawędzimy.

Któryś z nas — nie pamiętam już nawet z jakiego powodu — napomknął o tym, jak niegdyś polował na nury.

A pewien dziadek, który nie wiadomo jakim cudem trafił do naszej kompanii, wtrącił się do rozmowy:

— Ja też polowałem — rzekł dziadek — niegdyś na nury. Ale miałem wówczas psa, gończego! To ten pies właśnie wziął się na te nury. Goni je i goni, i goni. Ja zaś stoję na wzgórzu i wszystko obserwuję. Szczerze mówiąc ten nur nie bardzo uciekał. Przystanie i czeka, jak pies do niego, to on — szcęk — zębami. Pies tylko odskakuje. Ale pies był, mówię wam, szkoda gadać! Oj, co za pies! Na wilku wierzchem jeździł. No, a nurowi nie dał rady. Jednakże udało się gończakowi skierować bestię na mnie, strzeliłem, dym niby poszedł, ale zwierz nie upadł, lecz pomknął dalej i... znikł... A pies trop w trop za nim. Ledwom go później odnalazł. Nur, to według mnie coś pośredniego — między lisem a wilkiem. Zwierzyłem się po polowaniu panu dzieźdricowi — uczony był pan — piastował urząd marszałka szlachty — to on mi powiedział, że zwierz ten trafił do nas z tej ziemi — jak ona tam? — no ta, co w niej jest gród — Jerozolima. Mój Boże, pamiętam, jak jeszcze żona Kalasantego Wychlajbutli, co to miał parowy młyn, wybrała się tam z pielgrzymką i później opowiadała, jak zwie się ta miejscowość... A mnie już z głowy wyleciało... Polowałem, jak mi Bóg miły, że polowałem na tego nura. Co za wspaśniały zwierz, wcale do naszych niepodobny. Co nie, to nie!

Szczerze uśmialiśmy się z tego dziadkowego nura.

Ale nikt z nas mu nie zaprzeczał.

Po co rozczarowywać sympatycznego dziadka, sprzeczać się z nim, jeżeli on chyba w różnych kom-

paniach czterdzieści lat opowiada tę historię o polowaniu na nura.

Powiedzmy, że macie zamiar przekonać dziadka, że nur — to nie zwierzę, ale ptak? No i co z tego? Przekonacie go? Śmiem wątpić. Pewny jestem, że nie uwierzy...

Zresztą, może to i lepiej, że nie uwierzy: jeszcze raz gdzieś opowie tę swoją historię i znowu towarzystwo będzie rechotać...

Niech sobie opowiada.

Sporo takich „nurów” spotyka się w ciekawym, pełnym romantyzmu i przygód myśliwskim życiu — byciu.

•

Nur jest oczywiście ptakiem.

Ale to jeszcze nie wszystko — nie to jest najważniejsze, że to ptak, lecz przede wszystkim ważne jest to, że jest nadzwyczaj ciekawym ptakiem.

Jest ciekawym ptakiem przede wszystkim dla zapaleńca, a szczególnie dla młodego zapaleńca. Przeważnie dla myśliwego — żółtodzioba.

Który zaś myśliwy, myśliwy-debiutant nie jest zapaleńcem?

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że są myśliwi, którzy nie znają nura, a uważam, że powinni go znać.

Nur — to ptak, który się nie lęgnie u nas, lecz na północy.

Na naszych jeziorach spotykamy go już w początku września i oczywiście później, kiedy wędruje z północy na południe.

Nazywa się po łacinie Colymbus.

Długość jego wynosi 65—67 centymetrów, skrzydło — 38 centymetrów, ogon — 6 centymetrów.

Szyję ma wydłużoną, dziób — prosty, ostry. Grzbiet jego jesienią jest ciemnoszary, głowa i szyja z wierzchu są również szare. Od dołu zaś jest biały.

Kiedy spostrzeżecie takiego ptaka pływającego po jeziorze — zbliżcie się i obliczcie na oko: jeżeli długość jego wynosi 65—67 centymetrów, skrzydło — 38 centymetrów i ogon — 6 centymetrów, to bądźcie pewni, że macie przed sobą nura.

Ale przyglądając mu się, bądźcie uważni, długość może wynosić 65—67 centymetrów, skrzydło — 38 centymetrów, ogon zaś, dla przykładu, nie 6 lecz 5 lub 7 centymetrów.

A więc to nie nur...

Wy zaś koniecznie chcecie nura, bo polowanie na innego ptaka nie jest już takie przyjemne.

Powiedzmy, strzelicie — i ptak poszybuje w górę. A nur — to ptak nurkujący. Dlatego polowanie na niego ma niesłychany urok i wdzięk.

Po tym jak sprawdziliście na oko, że wszystko odpowiada wymiarom (65—67 x 38 x 6) i dowiedzieliście się, że po łacinie nur nazywa się Colymbus, możecie śmiało wyruszyć na polowanie.

Na czym polega urok polowania na nura?

Na tym, że:

1) Polując nad jeziorem na nura jesteście cały dzień pod wrażeniem, że macie stale przed sobą dzikiego ptaka. Nie musicie biegać i szukać kaczki, bowiem calutki dzień macie ją przed sobą.

2) Nur przyczynia się do tego, że myśliwy upra-

wia trzy rodzaje sportu: myślistwo, strzelectwo i lekkoatletykę.

3) Nur zapewnia myśliwemu lekką i niefrasobliwą podróż powrotną do domu.

Przyjechaliście więc na wieś.

Wzięliście ze sobą półtora czy dwie setki nabo-
jów. Zresztą mniej się nie bierze, jadąc na polowanie
trzeba przewidzieć, że może się trafić akurat bogaty
ciąg lub takie ogromne skupienie kaczek w mocza-
rach, że jedyną robotą myśliwego będzie nieprzer-
wane strzelanie.

I oto wyobraźcie sobie, że zabrakło wam nabo-
jów!

Zropaczeni bezsilnością w obliczu kaczek siedzą-
cych na muszce pogryźlibyście wszystkie palce.

Myśliwy zawsze powinien mieć duży zapas nabo-
jów.

Rzecz jasna, że nie musicie dźwigać wszystkich
nabojów aż nad jezioro czy do moczarów — pozosta-
wicie więc większą część w chałupie chłopca, u któ-
regoście się zatrzymali.

Kwaterę, oczywiście, wybieracie u chłopca, który
mieszka w pobliżu jeziora.

Idąc nad jezioro zabierzcie trzydzieści — czter-
dzieści nabo-
jów.

Ranny brzask się nie udał: strzelaliście rzadko,
naboje pozostały....

Wypoczęliście trochę, wrąbaliście przyzwoite
śniadanie i spieszycie nad jezioro — może się trafi
na wodzie jakiś ptak.

Właśnie po jeziorze pływa sobie ptaszysko.

Zmierzyliście na oko wymiary — nur...

Śmiało zbliżacie się teraz do jeziora, albowiem
nur chociaż jest czujny, to i on lubi pasjami zaba-
wiać się w polowanie.

Jesteście na miejscu — wzięliście go na muszkę.

— Bach! — i już nie ma nura.

W tej chwili, gdy pociągacie za kurek, ptak ukrywa się pod wodą. Nurkuje.

W tym miejscu, gdzie niedawno był nur śrut wywołał prawdziwą burzę. Ale ptaka nie ma...

Po krótkiej chwili, trzy metry dalej od miejsca, gdzie śrut wzburzył wodę — wynurzyła się głowa nura.

Naciskacie lewy spust.

— Bach! — i nie ma nura.

Zanim pośpiesznie naładujecie ponownie strzelbę — nur znowu pływa przed wami.

Wygląda ślicznie na powierzchni wody: wysmukły, o długiej szyi, oślepiająco biały, kiedy zwraca się do was pierśią...

— Bach! — i nie ma nura.

Po chwili nur już jest.

— Bach z lewej! — i nie ma nura.

Trzydzieści pocisków wylatuje w przeciągu trzydziestu — czterdziestu minut.

Ale, czy można zrezygnować z nadziei, że się upoluje nura?!

Nigdy!

Czy możecie zrezygnować z wypchanego ptaka, który upiększy wasz pokój?

No, a przyjemność, którą sprawi waszej żonie prezent w postaci skórki z nura?

Po upolowaniu dwustu-trzystu nurów i ściągnięciu z nich skórek (nury mają bardzo mocną skórę i wspaniałą, gęstą puch) można z nich uszyć tak oryginalne palto, że wszyscy wokoło zazdrościliby waszej żonie. Palto, którego nikt na świecie nie ma.

Mogę przysiąc na wszystkie świętości, że nikt na

świecie nie miał, nie ma i mieć nie będzie takiego palta.

Po wystrzeleniu trzydziestu naboju, biegiem walicie do chaty po zapas.

Napchaliście pełną ładownicę, ze dwa dziesiątki wepchnęliście do kieszeni i biegiem z powrotem, nad jezioro.

Gospodyni krzyczy za wami w ślad:

— A obiad? Ugotowałam barszcz z karasiami!

— Później... Później... — odpowiadacie. — Nur czeka.

Jesteście już nad jeziorem. A nur pływa sobie, pluska się w wodzie i dziobem piórka czyści.

Spoziera na was i wydaje wam się, że zaraz powie:

— No, przygotowałeś się? Zaczynamy!

Nur już wypoczął i jest gotów bawić się z wami w polowanie.

Znowu:

— Bach, z prawego! — nie ma nura.

— Bach z lewego! — i nie ma nura.

Po wystrzeleniu drugiej porcji naboju znowu biegniecie do chaty po nową porcję...

Nigdy od razu nie bierzecie z sobą wszystkich naboju, bo jesteście dogłębnie przekonani, że teraz na pewno ustrzelicie nura.

Można też urządzić przerwę — wy wypoczniecie i nur wypocznie.

Biegając i strzelając do nura, raz tu, raz tam, cały dzień spędzacie pełni myśliwskiego zapału i napięcia.

No, a oprócz tego wracać będziecie do domu bez ciężaru, lekko i z humorem...

Nie trzeba się smucić z tego powodu, że nie

ustrzeliliście nura. Nie smućcie się — nur znowu na przyszły rok przyleci i umożliwi wam jeszcze jeden, a jak zechcecie to kilka dni pełnych emocji.

Mieście też na uwadze i to, że macie możliwość sprawdzenia swoich umiejętności strzeleckich.

Nie ulega wątpliwości — jesteście wspaniałym strzelcem, bo cały śrut pada w tym właśnie miejscu, gdzie przed chwilą pływał nur.

Jasne, nie spudłowaliście!

A to też coś znaczy.

No, a czy w ogóle można ustrzelić nura?

Oczywiście, można!

Ale muszę wam odkryć pewną tajemnicę.

Rozumiecie, rzecz polega na tym: nur jest niesłychanie spostrzegawczy.

Ma sokoli wzrok — widzi na sto kroków tak, jak wy nie zobaczycie przez najlepszą lornetkę.

Pływa więc sobie i nie zwraca, niby, na was żadnej uwagi...

A w rzeczywistości jednym okiem świdruje i obserwuje każdy wasz najmniejszy ruch.

Szczególnie uważnie śledzi wasz palec na kurku.

Tylko zamierzacie nacisnąć, tylko poruszycie palcem, by nacisnąć kurek, a ptak — siup! — i już jest pod wodą.

Nurkuje błyskawicznie.

Pragnąc ustrzelić nura, musicie tak czynić, by ptak nie zauważył, że chcecie nacisnąć kurek.

A jak to zrobić?

Zwyczajnie! Czyniecie tak: odwracacie się do nura plecami, jak gdybyście go wcale nie spostrzegli. Strzelbę zawieszacie na ramieniu, w lewym zaś ręku trzymacie lusterko, przez które mierzycie do nura.

Ptāk myśli, że się pudrujecie lub poprawiacie krawat.

Tymczasem celujecie przez lusterko, naciskacie kurek: bach!

I nur leży!

Mój Boże, co za radość z upolowanego prawdziwego Colymbusa, którego już macie w ręku...

Od razu ściągacie z niego skórkę.

Niestety do jedzenia się nie nadaje, bo go mocno czuć rybą. I jeszcze jedno, w żadnej skórce mole nie lęgną się tak jak w nurczej.

DZIKA GĘŚ

Dzika gęś — to właściwie taka zwyczajna gęś, tylko że dzika.

Jada się ją podobnie jak oswojoną: smażoną z kapustą, nadziewaną jabłkami, szpikowaną gryczaną kaszą i wtraja się ją zwyczajnie...

Różnica między dziką gęsią a oswojoną polega na tym, że dzikiej za skarby świata nie znajdziecie na naszych targowiskach. I jeżeli pragniecie już obowiązkowo usmażyć ją zwyczajnie, bez jabłek i bez kapusty, to musicie ją przedtem upolować.

Ale upolować dziką gęś, to niełatwa sztuka. Na Ukrainie się nie lęgną, jeno wiosną przelatując na północ, a jesienią na południe — zatrzymują się u nas na popas. Dlatego też może się zdarzyć, że wczesną wiosną lub późną jesienią zwrócić się do przyjaciół:

— Udało mi się polowanie, mam tam parę gąsek. Przyjdźcie, uprzejmie proszę.

I mogę was zapewnić, że nie ma w tych słowach krzty pychy. Bije z nich raczej skromność, która jak wiadomo cechuje każdego myśliwego.

Polowaliśmy z kumplem na dzikie kaczki późną jesienią nad rzeczką Oskoł.

Muszę was uprzedzić, że rzeczka Oskoł — to nad-

zwyczajna rzeczka. Cicha, o przejrzystej czystej wodzie, otoczona zewsząd oczeretami i o brzegach pachnących osoką. Ma wiele zatok i odnóg, a na jej lewym brzegu ciągną się łąki, z których spozierają na świat Boży filuternymi oczkami jeziorka pokryte zielonymi — zielonymi rześami.

Ale czy tylko z tego słynie ta rzeczka? Otóż nie! Słynie ona przede wszystkim z tego, że w jej głębinach kryją się ponoć rzadkie ryby — ni to lewiatany, ni to wyrwijęby.

Co do tego to nie mam pewności. Może jakiś inny gatunek?! Pamiętam tylko doskonale, że opowiadał mi dawno — dawno pewien rybak o swojej rzeczce, twierdząc, że pływa w niej coś takiego, czego w żadnej innej rzece na świecie nie ma i być nie może.

Bóg z nią, z tą rzeczką, niech sobie tam pływa...

Polowaliśmy więc na dzikie kaczki i przyznam się szczerze, że dotąd pojąć nie mogę, jakim cudem upolowaliśmy dziką gęś — kazarę.

Mówiąc szczerze, jak to w naszym zwyczaju, to ta dzika gęś wcale obok nas nie przelatywała ani przepływała. A mimo to — upolowaliśmy ją.

O tym, jak się to robi, nie będę się rozwodził, bo wiem każdy myśliwy ma swój styl i swoje własne sposoby.

Zresztą trudno by było wszystko dokumentnie wyłożyć, bo i tak nie zrozumiecie.

Gąskę tę upolował kumpel, bo miał ze sobą więcej nabożów, a ja zapomniałem w domu portmonetki z forszą.

Ale kumplak podniósł mnie na duchu.

— Nie denerwuj się — rzekł — nie pękaj z zardzości: gąskę skonsumujemy wspólnie.

Kazarka miała postrzelone tylko skrzydełko. I łą-

ziła sobie po chałupie. Kiedy zaczęliśmy się zbierać do domu, spokojnie dziobała rozsypane na podłodze okruszyny z pszennego placka i popijała wodę.

Długo zbieraliśmy się w powrotną drogę. Długo i serdecznie żegnaliśmy się z miłymi, sympatycznymi gospodarzami domu, u których zatrzymaliśmy się na czas polowania. Przy ostatecznym pożegnaniu zaśpiewaliśmy tę, jak ją tam, no wiecie:

Gdzieś ty chmielu, chmielu, zimował,
Ześ się nie rozwinął...

A jadąc wozem na stację nie śpiewaliśmy już o chmielu, lecz o ogóreczkach:

Sama będę je polewać
Srebrną własną łzą...

Gospodarz siedząc na wozie wyciągał głośno i przeciągle:

...łzą-ą-ą!

Ale tak głośno, że z domów powybiegali ludzie i długo patrzyli za nami w ślad.

— Czy się co stało? — zapytywali.

— A-a, nic! Myśliwi przejechali!

Do samej stacji śpiewaliśmy.

Na stacji pożegnaliśmy się serdecznie z gospodarzem i wgramoliliśmy się do pociągu.

Będąc już w przedziale chcieliśmy z kumplem kontynuować nasz śpiew, ale na bojowe i bohaterские piosenki zabrakło nam tchu. Stać nas było tylko na ponuro-minorowe:

Dumy moje, dumy moje
Źle mi czemuś z wami.

I jak tylko doszliśmy do pytania:

Czemuż licho was nie uśpi
Jak rodzone dziecię?

raptem obaj zamilkliśmy.

Zaczelśmy ziewać jak na komendę i po chwili wyrwało się nam jednocześnie:

— No, pora spać!

A tu mamy tę gąskę-kazarę.

Pościeliliśmy sobie na półkach.

A dla gąski nie mieliśmy koszyka, w którym by spokojnie przenocowała. Działo się to w epoce, gdy ludzkość nie wynalazła jeszcze siatek zwanych popularnie „awoškami”. I oto stanął przed nami problem, gdzie wtrynić tę gąskę?

Trzeba wiedzieć, że jechaliśmy w wagonie pierwszej klasy.

Jednakże mój kumpel i z tej trudnej sytuacji znalazł wyjście.

— Wezmę ją do siebie — rzekł — na górną półkę. Będzie leżeć obok mnie, jak królowa. Mam lekki sen, czujny. Jak się zdenerwuje, to ją uspokoję.

— No, cóż — powiadam — bierz!

I zasnęliśmy.

Przebudziłem się wcześniej. Tylko otworzyłem oczy, patrzę — kumpel siedzi na półce ze zwisającymi nogami i po cichu nuci:

Czemuż licho was nie uśpi
Jak rodzone dziecię?

— Co ci jest? — pytam. — Czemuś taki ponury i to z samego rana?!

Kumpel nic na to nie odpowiedział, tylko poszperał gdzieś z tyłu, wziął coś do ręki i pokazał.

Spojrzałem: kazarka.

Ale nieżywa. Martwa.

— Ducha wyzionęła? — pytam. — Jak się to stało?

— Widocznie pomogłem jej. Mam lekki sen, śpię czujnie. I pomogłem jej usnąć... na wieki.

— Widzę, widzę — rzekłem. — Lepiej byś zaśpiewał:

Czemuż licho was nie uśpi,
Jak ja dziką gąskę?..

· Dyskusja nad tym, czy mamy uważać naszą gąskę za dziczyznę upolowaną, czy też za zdechlaka, który normalnie wyzionął ducha — trwała krótko.

· Postanowiliśmy uważać ją za prawdziwą dziczyznę, która skoła od ran, mimo że miała jedynie postrzelone skrzydło.

Natomiast o tym, że kazarka spała na górnej półce w miękkim przedziale, w pociągu Kupianka — Charków postanowiliśmy zapomnieć i nikomu o tym ani słowa.

Jak uchwaliliśmy — tak uczyniliśmy.

Na drugi dzień po powrocie gąskę skonsumowaliśmy.

Wszyscy się oblizywali, taka była smaczna. Następnego dnia pani domu wzięła skrzydełka kazarki, złożyła niby wachlarz i chciała już przybić nad biurkiem kumpla. Miały one upiększyć miejsce pracy oraz stale mu przypominać szczęśliwe polowanie na dzikie gęsi.

Kumpel był serdecznie wzruszony pomysłem małżonki, ale łagodnie jej wyperswadował:

— Dziękuję ci, koteczku, za troskę i pamięć, ale proszę cię: przybij te skrzydełka nad swoją toaletką. Naprawdę są piękne i ozdobią twój pokój. Zresztą

jest to, aniołeczku, mój prezent, prawda, skromny, ale zawsze prezent.

Kumpel ucałował sympatyczną zoneczkę.

I ona mu się tym samym odwzajemniła.

*

W ogóle jako wrogowie wiosennego polowania, wyjeżdżaliśmy na dzikie gęsi przeważnie jesienią. Wtedy one odlatują do wyraju i po drodze zatrzymują się u nas na popas i wypoczynek wśród szmaragdowych pól bujnej oziminy.

Nocą się pasą, a w dzień przylatują na jeziora, pływają sobie i wesoło gęgają.

Ale najgorsze, że nigdy nie pływają w pobliżu brzegu. Pływają na samym środku jeziora i najczęściej bardzo szeroko rozlanego, tak, że niełatwą sztuką jest je upolować.

Oczywiście, może się zdarzyć, że nadleci skądś stado gęsi, można też natknąć się na gęsie stadko gdzieś w trzcinie, ale co to za polowanie?!

Prawdziwy myśliwy nie liczy na przypadek. Interesuje się raczej polowaniem zaplanowanym i z góry przewidzianym.

Przypadkowo można też tygrysa ciachnąć. Ale nikt chyba z tego powodu nie nazwie was: pogromcą tygrysów.

Otóż pewnej sprzyjającej jesieni postanowiliśmy z kumplem zapolować na dzikie gęsi. Tak na fest, według wszelkich zasad myśliwskich.

Wybraliśmy duże jezioro, gdzie rok rocznie zatrzymywały się jesienią dzikie gęsi i przebywały czasami po dwa albo i więcej tygodni.

Gadaliśmy o polowaniu na dzikie ptactwo siedząc na łące pod stertą siana tuż po naszym przelocie.

Był z nami także znakomity myśliwy Józef, u którego stanęliśmy kwaterą po przyjeździe z miasta na polowanie.

Słuchając naszej gorącej dyskusji na temat dzikich gęsi, siedział dłuższy czas w milczeniu, po czym nagle wtrącił:

— Nie, chłopcy. Dzika gęś — to ptak, którego nie da się łatwo ustrzelić. Dzika gęś — to sprytnie zwierzę i podejść ją niełatwo. Jestem już czterdzieści dwa lata myśliwym, widziałem na tym jeziorze niezliczone chmary gęsi, ale nie ustrzeliłem dotąd ani jednej. A mimo wszystko jest jeden skuteczny na nie sposób. Przyjeżdżał tu do nas niegdyś z miasta pewien pan. Tak! Czekaście, kiedy to było? Daj Panie Boże pamięć... Po wojnie tureckiej, czy po wojnie hapońskiej? Oj nie, po hapońskiej! Jasne, że po hapońskiej. Bo po tureckiej byłem jeszcze kawalerem, a po hapońskiej ochrzciłem właśnie mego Bazylka. Znaczą się po hapońskiej. Ta-ak! Otóż podkusiło lichy tego pana zapolować na gęsi. I wiecie, wymyślił. Wynałazł. Wziął dużą beczkę, wrzucił do niej ciężkie kamienie, ponapychał burzanu i zatopił na środku jeziora. Mądry łeb. Zatopił po to, by później do niej wliźć, zasiąść i strzelać. Uczynił to na długo przed przylotem gęsi. Chciał, aby ptaki przyzwyczyły się do tej beczki sterczącej na samym środku jeziora. Wiedział, że jak się przyzwyczają, to będą siadać przy niej i płynąć obok. Jezioro u nas duże, ale niegłębokie. Postawić beczkę pośrodku nietrudno. Tak też uczynił.

— I co, ustrzelił? — zapytaliśmy gorączkowo.

— E, ustrzelić nie ustrzelił, bo w sobotę w sam raz przed niedzielą, kiedy miał przyjechać, chłopcy — urwisy powyrzucali z niej kamienie i całą noc

pływali sobie po jeziorze. Ale sam sposób, jak się domyślacie, jest doskonały.

Chyciło. Spodobał się nam ten sposób.

Wyszukaliśmy odpowiednią beczkę, wrzuciliśmy na dno ciężkich kamieni, napchaliśmy burzanu i postawiliśmy ją pośrodku jeziora tydzień przed przylotem dzikich gęsi.

Kumpel z tej okazji wziął urlop i pilnował beczki, aby łobuzy nie zrobili z nas balonów, jak z tego pana...

Zatopiliśmy ją w niedzielę.

Za tydzień miałem przyjechać, bo według naszych przewidywań gęsi miały już wtedy być.

Przyjechałem w sobotę pod sam wieczór.

— Gęsi — rzekł kumpel — już przyleciały. Beczki się nie boją. Pływają obok niej, siadają przy niej. Można już dziś zasiąść. Ciągnijmy losy — rzekł kumpel — kto ma pierwszy w niej zasiąść.

— Siadaj — powiadam — pierwszy. A jutro w nocy ja zasiądem. Zwolniłem się przecież do wtorku.

— Zgoda.

I na tym stanęło.

Szczerze mówiąc, tośmy wtedy jeszcze nie bardzo przestrzegali świętej zasady myśliwskiej: pamiętaj, idąc nad jezioro nabij strzelbę, ale sam się nie uchłaj.

Zupełnie nam ta zasada wypadła z głowy.

Przed samym polowaniem siedliśmy do kolacji.

Długośmy, pamiętam, wieszczali, bo do beczki zasiąść trzeba było dopiero przed samym świtem. A nie poszliśmy spać, bośmy nie chcieli przegapić polowania. A więc wieszczaliśmy.

Z domu wyszliśmy przed samym świtaniem.

Strzelby, chociaż ciężko je było nieść, zabraliśmy

ze sobą. Wziął też kumpel do beczki butelkę na rozgrzewkę (na wypadek, gdyby nie daj Boże zaczął marznąć).

Nad jeziorem sporo czasu zajęła nam przesiadka koleżki do czółna. Ale w końcu wlaźł...

Dopłynęliśmy do beczki.

Oj, cośmy się namęczyli zanim kumpel załazł do beczki. Ale załazł.

Zostawiłem go i popłynąłem do brzegu.

Odplynąłem chyba z pięćdziesiąt metrów, słyszę:

— Twoje zdrowie! Cholerny ziąb!

Dobiłem do brzegu, wyciągnąłem czółno i usiadłem pod stogiem.

Józef też wkrótce nadszedł. Kurzymy.

Raptem:

— Rrra-a-tu-unku-u! — głos z jeziora. — Be-e-czka się wywróci-ła-a! Równow-wa-a-gę stra-a-ci-łem!

— Brnij — krzyknąłem — brnij do brzegu!

— Nie da rady! — odparł kumpel. — Muł!

Skoczyliśmy z Józefem Jewdokimowiczem do czółna i zapychamy do beczki...

Dopływamy. Beczka się buja, a kumpel chce z niej dać nura.

— Co, zbzikowałeś? Dlaczego chcesz nurkować?

— Uto-nę-ęła, strzelba!

— Właź do czółna.

— A strzelba!

— Później ją wyciągniemy!

Wciągnęliśmy kumpla do czółna i do brzegu.

Usiadł nieborak pod stogiem i zębami dzwoni.

Tu i słoneczko wyjrzało...

Józef rozebrał się do rosołu, wlaźł do czółna i dopłynął do beczki. Po chwili skoczył do wody, trochę pobrnął i wyciągnął strzelbę.

— Chyba cię diabli wywrócili! — powiadam.
— Nie, rów-noo-wa-gę straciłem!
— Wypij, to się rozgrzejesz! Jest tam co jeszcze?
— Nic nie ma.
— Co, butelka wpadła do wody?
— Wpadła zanim jeszcze straciłem równowagę.
— Aha — mówię. — Jasne!
A gęsi lecą i lecą.

I jak na zło siadają wciąż na tym miejscu, gdzie stała beczka.

— No, a co teraz? — zapytał kumpel.
— Teraz — powiadam. — Teraz — mówię — krzycz:

Gęsi, gąsiątka, gąseczki,
Weźcie mnie na skrzydełka
I nieście do mojej mateczki...

— Do mateczki — rzekł smętnie kumpel — daleko! Ale na zapiecek to i owszem...

DROP

Po wyjściu z chutoru w stronę góry, gdzie kiedyś stał wiatrak, i idąc miedzą ukrytą wśród pszenicy, natkniecie się niebawem na szosę prowadzącą z chutoru Wiazowego do cerkwi, w której ongiś odprawiano uroczyste nabożeństwa. Tą właśnie szosą podążajcie dalej. Ominiecie cerkiew, następnie przejdziecie przez Kuliki (część wsi, której wszyscy mieszkańcy zwą się Kulikami) i dotrzecie do miasteczka. Pierwsza droga za miasteczkiem, ta skręcająca w prawo, prowadzi do Tarnowszczyzny, ta druga zaś do Szengarówki.

Idźcie stale prosto. Miniecie Chałdejszczyznę i za nią będzie Dubiaga.

Z chutoru do Dubiagi będzie około siedmiu kilometrów.

Aby wam w drodze nie było smutno recytujcie wśród pszenicy:

Idę po niwie wąziutką ścieżyną,
Pokrytą burzanem i lebiodą czepliwą.

Łatwo mówić — recytujcie! A jeżeli tego wierszyka nie znacie, bo wam dopiero idzie na siódmy roczek?! Otóż to...

Dopiero w dwa lata później nauczycie się tego wierszyka. Maria Andriejewna was go nauczy, stara nauczycielka, która nawet gdy wiosna i słońce na dworze — otula się ciepłą chustą. Naprawdę jest stara i stale biedaczka kaszle.

W dwa lata później zwróci się do was:

— Dzieci na jutro nauczycie się dwóch strofek:

Idę po niwie wążutką ścieżyną,
Pokrytą burzanem i lebiodą czepliwą!

— Na pamięć żebyście umiały!

Następnego dnia recytujecie przed Marią Andriejewną:

„Idę po niwie wążutką ścieżyną,
Porośniętą buzanem i łobodą cepliwą!”

— Nie „cepliwą”, lecz „czepliwą”!

— Oj, prawda! Pomyliłem się! Powtórzę!

— Powtórz!

„Porośniętą burzanem i...”

Tu się zacinacie, zastanawiacie się przez chwilę, sami do siebie mówicie „Aha” i z triumfem dopowiadacie:

„... i łobodą cepliwą!”

Maria Andriejewna uśmiecha się łagodnie i macha ręką:

— Siadaj!

Gdzie się znajduje mogiłka miłej, łagodnej Marii Andriejewny? Chciałbym się pokłonić tej mogiłce, bo pamiętam, jak nas uczyła pisać literę „O”: Dzieci, narysujecie obwarzanek! To właśnie jest „O”. Potem zaś przeglądając zeszyty mawiała:

— Dobry z ciebie chłopczyk. Piękne „o” napisałeś! I ręce są mniej uwalane atramentem! Na, masz cukierka!

Niech tam na jej mogiłce wiosną, kiedy kwitną bzy, stale słowiki kłaskają!

•

Znaczy się, że nie potraficie jeszcze recytować „o burzanie” i „lebidzie czepliwej”.

Rwijcie więc bławatki... Chabry, dzwoneczki, koniczynę i rumianek. Narwijcie duży — duży snop kwiatów, przewiążcie go później powojem polnym i nieście!

Kiedy zaś i to nie rozpędzi smutku — łapcie na kłosach wołka zbożowego. Chwytajcie go i kładźcie za pazuchę. Kiedy napchacie już pół pazuchy wołków, to będą one łązić po waszym ciele, chrzęścić, łaskotać i łechtać.

Wtedy już nie będzie wam smutno. Biegając w podskokach zatrzymacie się aż w samej Dubiadze.

A w Dubiadze kułak żyje, co stale z dzbanka wódkę pije.

W sadzie przy stole dwóch kułaków wprost z dzbanka gorzałę trąbiło.

Potem, gdy się już im w czubach zakurzyło, jeden z nich ryknął:

— Danyło! Zaprzęgaj Żołędzia i Gorzałę! Rzuć siana do arby. Pojedziemy na dropie! No, a ty pojedziesz z nami?

— Pojadę! — odpowiedziałem nieśmiało.

— Dobra! Siądziesz na arbie i konie będziesz poganiał! Dobrze?

— Dobrze!

— No to chfajnie!

Zwróciłem się do wąsatego chłopca:

— Wujku, co to są dropie?

— Nie wiesz?

— Nie!

— To takie duże ptaki. Większe od dwóch gąsek!
W stepie się lęgną! Płochliwe!

— Aha!

Wsiedliśmy na arbę i w drogę. Arba pełna siana i z boków wyściełana burzanem. Siedzę z przodu i konie poganiam. Na sianie leżą dwie strzelby, kosz z dzbankiem i zagrychą.

Leżąc na wznak chłopci usiłują śpiewać:

Wylatywały orły zza stromej góry...

Ale dociągają tylko do „stromej” i nie mogą nijak na tę stromiznę się wspiąć. Stale zsuwają się z tej stromej do miejsca, gdzie „wylatywały orły”.

Przez całą drogę jedno się wciąż tylko dzieje — „wylatują orły”, ale co dalej z tymi orłami i dlaczego wylatują pozostawało dla mnie wówczas tajemnicą.



Było to moje pierwsze polowanie na dropie.

Kiedyśmy już daleko ujechali w step, jeden z chłopów rzekł:

— Spójrz no, Dorosz, nie widać ich gdzie?

Chłop stanął na arbie, a ja wstrzymałem konie. Zaczął się rozglądać na wszystkie strony. Długo rozglądał się, po czym rzucił:

— Za stogiem, niby, się coś porusza. Tam na koniczynisku. Zawracaj, na miedzę i jedź w stronę stogu! — rzekł do mnie chłop.

Zjechaliśmy na miedzę...

Zatrzymaliśmy się obok stogu. Chłop wlaź na stertę, rozejrzał się wokoło, potem zlaź i zbliżył się do arby:

— Są! — rzekł. — Jest ich siedem! Ale jak je podejść?

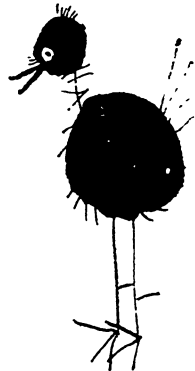
Naradzili się i nauczyli mnie, jak mam jechać.

— Pojedziemy — oświadczyli — i po drodze niepostrzeżenie zsuniemy się z wozu. Zasiądziemy w pszenicy, a ty pojedziesz aż tam i nie dojeżdżając parowu zawrócisz w lewo, ominiesz dropie, o, z tamtej strony. Przejedziesz trochę dalej, potem zaś zawrócisz konie i będziesz jechał bliżej dropi. Dojedź do parowu, zawróć i jedź na nie. Naganiaj je, niech idą na nas. Ale pamiętaj, z arby się nie wychylaj! Niech cię nie widzą! Na konie nie cmokaj i nie pokrzykuj! Jedź po cichu! Rozumiesz?

— Rozumiem!

— No to jadź!

Chłopi po drodze zsunęli się z arby, a ja pojechałem do parowu i zawróciłem w lewo. Dojeżdżając do koniczyniska (koniczynę już wtedy skoszono) zobaczyłem nie opodal stado dużych ptaków, pasących się na koniczynisku.



Czyniłem tak jak nakazał mi Dorosz.

Jechałem prosto, zawracałem, znowu wracałem, zbliżając się coraz bardziej do dropi.

Ale korciło mnie spojrzeć na ptaki. Szczególnie zaciekał mnie największy, który stał z wysoko podniesioną głową i stale zerkał na arbę. Ale burzan zasłaniał widok. Stanąłem więc na arbie i wyjrzałem. Nagle największy zerwał się, wziął rozpęd i poleciał, a za nim reszta. Zwaliłem się w siano. Dropie nie poleciały w kierunku chłopów, lecz gdzieś w stronę.

Podjechałem do gospodarzy.

— Spłoszyłeś je? — zapytał Dorosz.

— Jak Boga kocham, że nie! Siedziałem tak, jak mi nakazaliście. Widocznie się czegoś przelekły i uleciały!

— Oj, płochliwy, czujny ptak! — westchnął Dorosz.

Drugi zaś dodał:

— Pies z nimi! Jedź do stogu!

Gospodarze wyciągnęli z arby kosz, rozścielili pod stogiem czaprak...

— Podrzuc koniom siana! — rzekł rozkazującym tonem Dorosz. — I konie rozkiełznaj! Umiesz?

— Umiem!

A dalej już polowanie miało następujący przebieg: ja ganiałem pasikoniki, a gospodarze rozlewali z dzbanka do szklanic i zagryzali. Potem wzięli się do śpiewania. I pod stogiem, i na arbie w drodze powrotnej, i w ogrodzie, kiedyśmy przyjechali. Drzemiąc na ławie słyszałem, jak Dorosz przekonywał kompana:

— Drop — tchórzliwe ptaszysko. Płochliwe...
A wy mówicie...
I tak zasnął.

*

Drop jest rzeczywiście płochliwy i niezwykle czujny. Poluje się na niego podobnie, jak ja niegdyś polowałem z Doroszem. Okłada się arbę czy wóz burzaniem, chrustem i liśćmi, następnie omijając stado, powoli nagania się ptaki na siedzących w ukryciu myśliwych.

Najskuteczniejszy sposób polowania na dropie — to podkraść się do stada na odległość strzału i prażyć.

Skradać się do nich trzeba bardzo ostrożnie. Z daleka. Jak tylko spostrzeżecie z dala, powiedzmy z odległości trzech kilometrów, stado, to się połóżcie i pełznijcie.

Pamiętajcie, pełznijcie od kępki do kępki, od krzaczka ostu do krzaczka burzanu itd.

Najlepiej pełzać na brzuchu. Czapkę trzeba schować do kieszeni, głowę należy trzymać przy samej ziemi, bo drop najbardziej się boi ludzkiej głowy!

W taki więc sposób skradając się, pełznijcie!

To nic, że już na drugim kilometrze pełzania zedrzącie spodnie i koszulę. Pełznijcie wtedy na gołych kolanach i łokciach. To nic, że na trzecim kilometrze z kolan i łokci popłynie krew ciurkiem — to są właśnie najprzyjemniejsze chwile polowania na dropie. Żadna dziczyzna nie wpada w ręce myśliwego za darmo. A wiedźcie, że drop, jeżeli to nie samiczka, lecz tzw. dudak-samiec, to waży przeszło szesnaście kilogramów, cały pud. Z takiego ptaka macie pełny dzban smalcu i pół garnca skwarek.

Miejcież i to na uwadze, że smalec dropi nie tylko nadaje się do kaszy, jak gęsi, lecz nadaje się też doskonale do leczenia uroku zwanego wścieklicą.

Zastanówcie się: pud mięsa, garnek smalcu, pół garnca skwarek, no i radykalne zażegnanie wścieklicy u was i u sąsiadów.

Ot, co znaczy drop!

No, a sama duma?

— Wiecie, ustrzeliłem dropia!

Powiedzcie, czy nie warto skradać się trzy kilometry? Co tam zdarte kolana i łokcie?!

Furda!

Na drobiazgi nie zwracajcie uwagi! Pełznijcie dalej!

Podpełznąć trzeba na odległość strzału. Znaczy się, na jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt metrów. Nie więcej!

Potrzebny też jest gruby śrut, a kto wie, może kartacz, bo drop — to duży ptak.

Już pozostało niewiele, pięćdziesiąt metrów.

Jeszcze jeden zryw, trochę wysiłku, tylko metr, a dropie... fiut! i odleciały!

Strzelacie teraz Panu Bogu w okno, siadacie na ziemi, drzecie podkoszulek i opatrujecie sobie członki.

A potem po cichu wracacie do domu.

Wyobraźcie sobie, że dropie mają właśnie taką zasadę, zrywać się do lotu w chwili, gdy wam pozostał tylko metr albo dwa.

Taki już mają charakter.

*

Nie uwierzycie mi, oczywiście, ale jednak ustrzeliłem pewnego razu dropia. Ustrzeliłem bez pełzania, zwyczajnie — ustrzeliłem i kropka.

Przyleciało nieduże, liczące chyba dziesięć sztuk stado. Patrząc — zniżyły lot i skryły się w burakach...

Wędrowałem po stepie ze strzelbą, polowałem wtedy na przepiórki. I patrzcie, na szczęście miałem w zapasie kilka nabojów o grubym śrucie.

Naładowałem ponownie fuzję i ruszyłem przeciw wiatrowi w kierunku buraków, gdzie siadły dropie.

Działo się to w sierpniu, akurat dał nieduży wiaterek. Buraczysko było wysokie, rozłożyste i wietrzyk cicho liśćmi łopotał. Szedłem powoli, po cichu i dropie podpuściły mnie, bo widocznie odgłos moich kroków zagłuszał szelest botwinki.

Siadły niedaleko, czterdzieści metrów — strzeliłem. Rany boskie, co za radość — jeden kamieniem spadł na ziemię.

Podbiegłem — drop!

Nie powiem, nie był to dudak ważący pud, raczej samiczka, której do puda było daleko!

Ale drop! Najprawdziwszy!

Wracalem do domu dumny jak paw. Z dworca szedłem z piersią wysuniętą naprzód, a wchodząc do pokoju na nikogo nie spojrzałem.

Domownicy wyskoczyli na spotkanie:

— Co to za ptak?

Wycedziłem przez zęby lekceważąco:

— Drop! Nie widzicie?

O moim sukcesie szybko się dowiedzieli krewni, znajomi i przyjaciele.

— Co, ustrześliś dropia?

— Pytanie!

— No, to kiedy go skosztujemy?

— Wstąpcie! — odparłem.

Obliczyłem, ile osób ma przyjść na tego dropia. Wyszło mniej więcej dwadzieścia osób.

Rzekłem wtedy do małżonki:
— Wiesz, wszyscy się u nas nie pomieszczą! Dam dropia tam, niech przygotowują, a my wszyscy u nich się zbierzemy, posiedzimy i pouczujemy!

— Niech ci będzie — rzekła małżonka. — Mniej kłopotu!

Tak też uczyniłem. Zaniósłem dropia.

Chciecie wiedzieć do kogo?

O, tego wam nie powiem, bo wszyscy zaczniecie tam chodzić!

Przyniosłem dropia i poprosiłem:

— Proszę was uprzejmie, przygotujcie go na jutro.

— Na jutro, dropia? Coście z byka spadli? Przedtem trzeba go na dwie doby do ziemi zakopać, następnie przez dobę moczyć w occie, a dopiero wtedy nada się do smażenia. Będzie gotów na sobotę!

— Zgoda — rzekłem. — Róbcie!

Wszystkich zawiadomiłem, że ucza z dropiem odbędą się w tym a w tym miejscu, w sobotę.

Na wyżerkę zebrało się ogółem dwadzieścia osiem osób.

Ale, powtarzam, daleko było memu dropiowi do puda! A zresztą, gdyby nawet ważył pud, to czy wystarczyłyby na taką ferajnę?



Zjedli dropia, zjedli indyczkę i gąskę (to już domowe ptactwo!), wtranżolili sałatkę z oliwą, potrawkę z drobiu de Volaille i szaszyk po gruzińsku.

Rozmaitej, znaczy się, dziczyzny! Wszyscy, rzecz jasna, pili moje zdrowie, gratulowali szczęśliwego polowania, wiwatowali na moją cześć i życzyli „na psa urok”, aby mi tak dalej szczęście dopisywało! A potem wszyscy śpiewali!

Nazajutrz, z samego rana odbyła się w domu dłuższa rozmowa, ale już nie na temat dropia, lecz komornego, opału, bucików dla córki itp.

Rozmowa skończyła się mniej więcej tak:

— Jak długo będę jeszcze chodziła w zimie w letnim płaszczu?

— Ale sama przecież rozumiesz, drop! Nie często się trafia!

— Drop! — przerwano mi zjadliwie. — Dropia człowiek odprowadza zimą do ciepłych krajów! A u którego z twoich kolegów żona zimą marznie? A gdybyś tak niechcący naumyślnie spudłował, jeżeli to już taki rzadki ptak?!

— Właśnie, przecież przypadkowo ustrzeliłem tego dropia! Wcale nie chciałem!

— Chwała Bogu, że to się tak rzadko zdarza! — wtrącono ponownie.

Na widok zaś Mikołaja, który tak po mistrzowsku tego dropia przyrządził, rzekłem:

— Powiadacie, że dropia przed smażeniem trzeba na dwa dni do ziemi zakopać?

— Co najmniej! — odparł Mikołaj. — Traci wtedy specyficzny niezbyt miły zapaszek.

— Słuchajcie, Mikołaju Iwanowiczu. Jeżeli po raz drugi zdarzy mi się przynieść do przyrządzenia dropia, to go trzymajcie w ziemi nie dwa dni, lecz najmniej dwa miesiące!

— Nie ma mowy, zgnije.

— Tym lepiej! Nie zarabiam tyle, by się obżerać dropiami!

ALEKSY IWANOWICZ

Kiedy poznałem Aleksego Iwanowicza, liczył już sobie 76 lat. I z dawien dawna słynął jako znakomity myśliwy. Z jednakową namiętnością polował na pióro jak i dziczyznę.

Na pióro — to znaczy: na kaczkę, bekasa, dubelta, synogarlicę, przepiórkę, kulika itp.

Polował też niegdyś, rzecz oczywista, na dzikie gęsi i łabędzie, gdy wczesną wiosną i późną jesienią przelatywały z wyraju na północ i z północy wracały do wyraju, zatrzymując się po drodze na naszych rzeczkach i jeziorach.

Ale obecnie Aleksy nie poluje już na dzikie gęsi i łabędzie.

— Już nie te lata! — powiada. — A ongiś, ho-ho!...

Polował, znaczy się, na zwierzynę: na zająca, lisa i wilka.

Mieszkał Aleksy na wsi, tuż obok dużego jeziora, a nawet dwóch. Między tymi dwoma jeziorami ciągnął się dość szeroki przesmyk i oto między tymi dwoma jeziorami często przelatywały dzikie kaczki. I tak się już jakoś złożyło, że rano „ciągnęły” te kaczki z dużego jeziora do mniejszego, wieczorem zaś — z mniejszego do dużego.

Na tym przesmyku kopano dołki i maskowano je

burzanem, trzcina i tatarakiem... Myśliwi zasiadali w tych dołkach i cierpliwie czekali aż kaczki będą przelatywać.

Przesmyk był duży i można było na nim wykopać mniej więcej w odstępach stumetrowych od 5 do 7 dołków.

Polowanie na tych jeziorach odpowiadało przede wszystkim myśliwym z krwi i kości, że tak powiem, myśliwym — sportowcom. Strzelali oni do kaczek wyłącznie w locie, a nie tak jak ci myśliwi od siedmiu boleści, którzy siedząc gdzieś w szuwarach czekają aż skupi się sto albo tysiąc ptaków i wtedy palą do siedzących ofiar. Ba-bach! — i do torby. Tego rodzaju myśliwych na tamtych terenach nie lubią, nazywają ich „rakarzami” lub „zwierzobójcami”.

— Bądź łaskaw i ustrzel w locie! A siedzącą kaczkę to i patykiem można zabić!

Aleksy, taki sobie prosty, zwyczajny człek, miał szlachetne serce myśliwego — sportowca. On nigdy nie strzelał do siedzących ptaków.

Jeżeli już nawet niepostrzeżenie przedostał się do moczarów i spostrzegł siedzące na odległość strzału kaczki, musiał się przedtem ujawnić, krzyknąć: „a kysz!” i dopiero strzelał do lecących.

Aleksy miał dwa psy gończe: Dokuczaja i Oprycha.

Psy te były doskonale ułożone, dobrze tropiły i ganiały dziczyznę, szczególnie Dokuczaj, stare, srogie psisko, które nigdy nie odstępowało zwierzyny i nigdy nie gubiło tropu. Dokuczaj miał niski głos, grał prawdziwie po myśliwsku.

Oprych był młodszy, szybszy, ale mniej doświadczony. Głos miał jazgotliwy, cienki, skowyczący.

Kiedy Oprych gnał zwierzynę, to cały las pełen był podzwieków, jak gdyby dzwony się rozdzwoniły.

I oba, Dokuczaj i Oprych taki wykonywały w lesie duet, że słuchałoby się i słuchało...

Otóż pewnego wieczoru, po powrocie z polowania, Aleksy oświadczył:

— Stary już jestem! Trudno mi z gończymi polować! Weź ode mnie Dokuczaja i Oprycha, jesteś młody, tobie posłużą jeszcze.

— Takie psy, i weź?... — zdziwiłem się. — Jeżeli rzeczywiście postanowiliście więcej nie polować z gończymi, to mogę te psy od was odkupić, ale tak... Za darmo, Aleksy Iwanowiczu?

Stary z gniewem machnął ręką:

— W życiu psami nie handlowałem! Rozumiesz? Bierz! Trudno mi już z nimi polować, a chcę by trafiły w dobre ręce.

Wziąłem Dokuczaja i Oprycha.

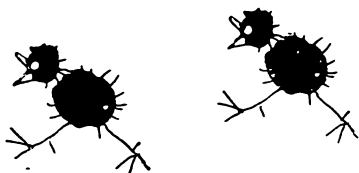
Kiedy wyjeżdżałem z podwórza, zauważyłem że nie ma Aleksęgo, gdzieś znikł. Żona jego żegnając się z psami, po kolei obejmowała Dokuczaja i Oprycha i całowała.

— Niech pan nie krzywdzi piesków — rzekła do mnie. — To dobre psy... A w pierwszych dniach niech się pan strzeże Dokuczaja: charakterny jest. Aż się nie przyzwyczai.

— Gdzie się podział Aleksy Iwanowicz? — zapytałem.

— Polazł do ogródka. Nie chciał, by pan widział, jak płacze...

Aleksy zalał się łzami nie z powodu psów. Doskonale zdawał sobie sprawę, że psy będą w do-



brym ręku. Płakał, bo poczuł, że młodość już nigdy nie wróci!

Nie bez powodu ostatnio, kiedy zdarzało nam się po polowaniu nocować pod stogiem lub stertą na łące, Aleksy spoglądał w ciemnoniebieską toń nieba i starczym głosem zawodził:

Zaprzęgajcie...
Pojedziemy doganiać,
Nasza lata młode...

Został Aleksy bez psów.

— Będę polował z Pirką... Na dubelta, przepiórkę... Jeżeli ustrzelę kaczkę — to i kaczkę przyniesie.

Pirka (Pirat) — stary już, niezbyt czysty rasowo seter irlandzki potrafił odnaleźć przepiórkę, dubelta i bekasa, umiał robić stójkę i rozumiał Aleksego nie tylko ze słowa, lecz ruchu ręki. Wystarczyło by stary machnął ręką — niby, kładź się — i pies kładł się... Machnie — „Naprzód” — Pirka biegnie przed siebie. Posłuszny był i łagodny ten pies.

W głowie Aleksego nie powstała nawet myśl o tym, by pożegnać się na zawsze z polowaniem...

— Choćby na synogarlicę, choć na wróbla... Aż z chaty nogami do przodu nie wyniosą, strzelby nie rzucę — oświadczył dobitnie Aleksy, gdy małżonka jego napomknęła, że „gdzie ci tam chodzić ze strzelbą!... Poniechałbyś już...”

Bardzo się wówczas rozgniewał na żonę.

*

Aleksy, że tak powiem, to myśliwy od dziecka. Jego dziad polował i jego ojciec. Aleksy dziadka już nie zastał wśród żyjących, natomiast ojciec jego

miał niemało kłopotu z chowaniem prochu i kapiszonów przed małym Olkiem. Chował też przed nim rusznicę, która zawsze była nabita, a to z tego względu, że nie była nowoczesną strzelbą, lecz odtylcówką. Zdarzało się prawda, że chociaż rusznica nie była nabita, jednak ojciec wyjmował kapiszon, bo wiedział doskonale, że najgroźniejszą bronią w domu jest właśnie nie nabita.

Zdarzało się za życia dziadka, a potem przy ojcu, że rusznica zawsze strzelała „nie załadowana” lub bez kapiszonu.

Otóż Aleksemu, gdy miał 13 lat, też się coś takiego przytrafiło.

Ojciec już nie chował przed nim rusznicy. Wisiała na ścianie na gwoździu. A Olek zdjął ją i szczerknął kurkiem. Mimo to, że nie było kapiszonu, jednak bachnęła. Na całe szczęście trzymał ją lufą w dół. Tyle tylko, że wybiła ogromną dziurę w polapie...

Ojca i mamy wtedy w domu nie było...

Kiedy wrócili, matka ze stękiem złapała się za głowę, a ojciec zapytał surowo:

— Szczerkałeś?

— Szczerkałem, tato!

— A co ci mówiłem?

— Żebym nie zdejmował rusznicy.

— Spuszczaj portki.

Prawdy się nie ukryje... Teraz szczerkał ojciec paskiem i przygadywał: „Nie szczerkaj kurkiem. Nie szczerkaj!” Aż matka wydarła ojcu ramię i powiedziała: „Dość, wystarczy”!

Odtąd Olek nie brał już więcej rusznicy do ręki. Ale pewnego razu ojciec sam zwrócił się do niego:

— No, chodź do ogródka. Musisz się nauczyć

strzelać. A jesienią pójdziemy na kaczki... Najwyższy czas!...

Trudno opisać radość chłopca.

Może myślicie, że Aleksy nie strzelał do chwili, aż ojciec postanowił uczynić zeń myśliwego?

A jakże. Strzelał, i jeszcze jak!

Zaczęło się, jak u wszystkich przyszłych myśliwych — od pukawki wystruganej z czarnego bzu.

Ale skłamałbym: przed pukawką była jeszcze szprycka zrobiona z boligłówki.

Chociaż szprycka ta — to żadna broń palna, jednakże i ona wyrabiała celność oka.

Mały Olek nabierał do strzykawki z kałuży obok studni jakąś rozrzedzoną ciecz, której w żadnym wypadku nie można nazwać wodą, i skradał się do kota, by weń chlusnąć. Ale kot — przebiegła bestia — hyc! — na jabłoń, z jabłoni na strzechę, ze strzechy na dach i po kocie. Trudno było kota przyhaczyć.

Natomiast kwoczkę łatwiej. Kwoka siedziała w chacie za przypieckiem i nigdzie nie uciekała. Cholernie zawzięta była ta kwoka! Jak tylko się zbliżał do niej, zaczynała gdakać, przybierała bojową postawę i dziobała w łydkę! Oj, boleśnie dziobała rozwścieczona kwoka... I oto Olek chlusnął w nią ze szpryki! Mój Boże, co za lament powstał w chałupie. Kwoka zaczęła skakać po izbie, gdakać... jaja, na których siedziała, zalane jakąś cieczą, gniazdo przewrócone... Jednym słowem: wesoło.

Na lament wbiegła mama. Teraz było już smutno. Szprycka rozprysnęła się w drobny mak. Olek dostał takiego kuksańca, że głową z rozpędu otworzył drzwi, przeleciał przez sień i wpadł do szopy. Stamtąd, krzycząc „Mamusi, więcej nie będę”, mknąc

przez ogród, wpadł w kartoflisko. Tu dopiero od-
sapnął.

A z chaty jak z kulomiotu:

— Dam ci ja szprycę, ancykryście! Ciebie same-
go posadzę, herodzie, na jajach, pod przypieckiem!
Będiesz mi tu kwoczkę wodą oblewał! Poczekaj,
draniu!

Drżąc na całym ciele, Olek leżał w bruzdzie.
Trzął się, łkał:

— Nie będę siedział zamiast kwoczki na jajach.
Ucieknę!

Długo tak matka przygadywała, zmieniając siano
pod kwoczką i wycierając jaja.

Potem, pod wieczór, gdy się już udobruchała:

— Gdzie jesteś, sikaczu? Chodź, napij się mleka!

— A nie zbijecie, mammo?

— Chodź! Ale pamiętaj, nie rusz mi więcej kwoki!

— Już nie będę, mammo! Jak Boga Kocham!

Nastąpiła zgoda.

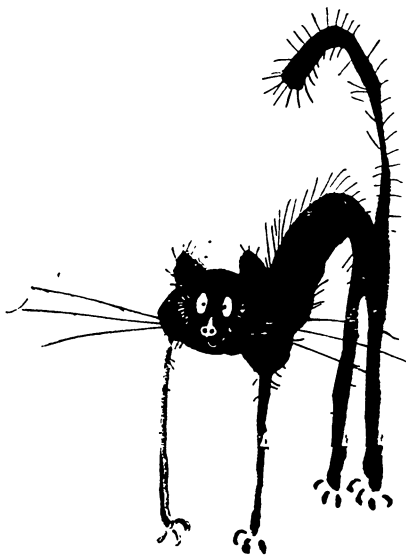
Po szprycce przysła kolej na pukawkę.

Pukawka — to broń po-
wszechnie znana, szczególnie
wśród przysłych myśli-
wych.

Przeważnie padają jej
ofiarami muchy, żabki, kur-
czaki itp.

Muchę można z pukawki
zabić, żabkę i kurczaka na-
straszyć.

— Puk! — kurczak nie-
przytomnie ogląda się na
wszystkie strony, podskaku-
je i nie wie, o co chodzi!



Kwoka jest również zaniepokojona — przechyla głowę na bok i jednym okiem uważnie zerka na niebo, czy czasami nie leci jastrząb... Bo i tak się zdarza.

Pukawka, chociaż nie była orężem agresywnym, jednak przysparzała Olkowi sporo nieprzyjemności.

Przyszła jakoś do mamy kuma Oryszka z maleńką Marianką. Podścieliły poduszkę i położyły dziecko na polepie. Jak to kumy, gawędzą sobie.

A Olek zbliżył się ze swoją pukawką do Marianki, wycelował i puk! — dziecku w samo czoło!

Rozwrzeszczała się Marianka, podniósł się krzyk i wrzask, oj dostało się Olkowi poniżej krzyża, a co najgorsze — pukawka poleciała do pieca!

— To była pukawka! Takiej pukawki nikt w całej wiosce nie miał! — wspominał później Aleksy Iwanowicz. — Pośliniło się grudkę pakuł i z kłaków tych powstawała kulka — ścisła — i jak się strześliło, to ponad brzozę wlatywała. Taka pukawka była i spłonęła!

Ileż to się nacierpi człek, który ma w sobie żyłkę myśliwską!

Po pukawce przyszła kolej na broń palną...

Ojciec postanowił skończyć z odtylcówką i kupić prawdziwą, nową strzelbę. Już nawet kupił pięć nabojów miedzianych (kaliber 12).

Zwierzył się Olek kumplowi, Ilce, synowi Odarki. Ten zaś od razu:

— Ściągnij naboja — zrobimy pistolet.

Długo strugali łożę pistoletu i długo przymocowywali drutem nabój. Nareszcie przywiązali.

Sporo czasu musiał Olek czyhać, aż dobrał się do ojcowskiej skrzynki z prochem, nabojami, kapiszonami i innym sprzętem myśliwskim.

No, mieli proch. I zapałki też.

Nabili nabój i poszli do brzozowego lasku.
Olek trzymał pistolet, a Ilko podpalił nabój.
Mamo, ale bachnęło! Aż dym poszedł.

Ojca w domu nie było. Kiedy Olek wrócił, mama się zapytała:

— Kto tam w lasku strzela?

— Panicz, na wróble poluje! — rzekł Olek.

— Paniczyki nic innego nie mają do roboty, tylko wróble zabijać. I to przecie nie młode...

Olek, chociaż nie często, ale strzelał z pistoletu: gorzej było z prochem, trudno go było dostać.

Pewnego razu, obaj z Ilkiem doszli do wniosku, że ich pistolet zbyt słaby huk wydaje, trzeba aby głośniejsz strzelał.

I nazbierali prochu.

Porządnie nabili nabój prochem.

Poszli daleko od chaty, do leszczyнки.

Olek wyciągnął rękę z pistoletem i odwrócił głowę:

— Podpal — rzekł do Ilki — i padnij!

Ilko zapalił zapałkę, przytknął z tyłu do naboju i upadł.

Oj, bachnęło. Ależ grzmotnęło. Nabój rozleciał się w strzępki i za jednym zamachem zdarł Olkowi z grubego palca cały paznokiec.

Nie będziemy się długo rozwodzić nad tym, co było później. Powiemy tylko, że dużo było płaczu, smutku i wstydu. Trzeba było aż do Aleksandra Pietrowicza, felczera, drałować. Mama zaprowadziła.

Ale wstydu się najadł Olek, gdy felczer zaczął przygadawać:

— Patrzejcie, syn myśliwego! I to jeszcze jakiego! Ładnie, co?

Takie się zdarzały historie, zanim Aleksy wyrósł na dobrego myśliwego...

Umiał polować! Co on ptactwa ustrześlił i zwierzyzny ubił!

Żarty: sześćdziesiąt lat z hakiem poluje Aleksy...

Były też w tym czasie i gończe i legawce... Ale teraz już nie to. Minęły lata. Jednak strzelby nie rzuca. O, nie. Do ostatniego tchu.

*

Pewnego pięknego sierpniowego dnia postanowiłem odwiedzić starego przyjaciela Aleksego, którego dość dawno nie widziałem.

Pięć kilometrów od małej stacyjki kolejowej zagubionej w stepie szedłem piechotą do domu Aleksego. Miedzami. Wszędzie kopy, stogi. Gdzieś gdzie stały już kołchozowe sterty.

Zapukałem do drzwi, wyszła żona Aleksego.

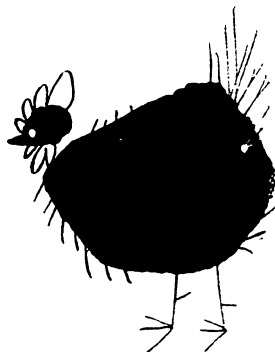
— Dzień dobry! Aleksy Iwanowicz w domu?

— Skąd tam! Powłókł się z Pirką na przepiórki! Nie ma na to rady! Ostatnio chorował, cały tydzień leżał. Kaszlał, miał gorączkę. Wezwałam nawet felczera — bańki mu stawiał. Jak się tylko lepiej poczuł — wstał, zjadł śniadanie i wziął strzelbę: „Pójdę, rzekł, do prosowiska. Może ustrzele jaką przepiórczynę. Słońce ze mnie chorobę wyciągnie, a wietrzyk ją ze mnie wydmie...

Powiedz, na piecu, gdzie ta choroba się podzieje? We mnie będzie siedzieć! Nie, pójdę”!

— Gdzie to wasze prosowisko?

— Tuż za wsią. Niedaleko. Idźcie szosą, która prowadzi



do Mandrykiwki. Proso jeszcze nie skoszone, a pszenicę kombajnem ścięto. Mówią, że pełno tam przepiórek.

— Pójdę — rzekłem. — Poszukam Aleksego Iwanowicza. — Może i sam zapoluję!

Już z dala spostrzegłem Aleksego.

„Przyjrzę się — pomyślałem — jak stary poluje na przepiórki”.

Podkradłem się do kopy i zacząłem obserwować.

Stałem się świadkiem śmiesznej a zarazem wzruszającej sceny.

Aleksy siedział na snopku (wzdłuż prosa snopy nie były jeszcze złożone w kopy), a nie opodal biegał, nie, raczej chodził Pirka. Chodził niby „czołenko” w maszynie, jak przystało na prawdziwego myśliwskiego psa. Pirka szedł, szedł, nagle stanął. Stanął, odwrócił łeb w stronę Aleksego i spojrział na niego. Stary podniósł rękę. Pirka zaległ. Aleksy zbliżył się do Pirki, przyszykował fuzję, postąpił trzy kroki — przepiórka się zerwała. Aleksy strzelił. Jest. Upadła. Stary wrócił do snopka. Pirka się poderwał, stanął i nie pobiegł, lecz poszedł. Poszedł, przyniósł przepiórkę i położył przed Aleksym. Stał chwilę, aż stary machnął ręką: „Naprzód”. Pirka znowu poszedł... Stanął... zaległ... Aleksy znowu się podniósł... Tak obaj polowali. Zanim Pirka wytropił przepiórkę, Aleksy odpoczywał, zanim Aleksy nie zbliżył się do psa, to ten odpoczywał...

Długo tak stałem w zachwycie, obserwując harmonijną współpracę dwóch przyjaciół.

Kiedy Aleksy „pudłował” Pirka podnosił głowę i przyglądał mu się dłużej.

Aleksy nabijając strzelbę, usprawiedliwiał się:

— Nie gniewaj się, Pirka! Zdarza się!

Zbliżyłem się do Aleksego i przywitałem się z nim:

— No, jak zdroweczko!

— Jak widzicie, brykamy! Z Pirką! Już pół dziesiątka kropnęliśmy do spółki z Pirką! — rzekł z uśmiechem, pokazując torbę.

Całe życie ze strzelbą! Do ostatniego tchu! Szlachetna pasja szlachetnego człowieka.

„EH, JAK NAS KUROWANO...“

Zerknijcie: tam oto na pniakach siedzi baba w granatowym kaftanie, zgrzebnej spódnicy i olbrzymich buciorach „żołnierkach”.

A wiecie kto ona?

To pasiczański „prochfesor”, babka Pelasia, która bez mała lat pięćdziesiąt twardo i nieugięcie stojąc (czy to siedząc) dba o zdrowie pasiczańskich obywateli...

Siedzącej na tych pniakach babie Pelasi stuknęła już pewnie dziewiąty krzyżyk, ale ma baba dotąd krzepę w garści i niby ten średniowieczny rycerz, co to niegdyś w dłoni miecz dzierżył, tak i ona mocno ściska w ręku nóż rdzawy podczas obciachowania od pępownicy raba bożego Swiryda czy niebogi Kaliny.

— „Wszechwiedzająca baba!” — powiada dekarz Hnat Porfirycz. — Wszyściuśko wie!

Ta „wszechwiedzająca baba” i jej starcze, pomarszczone ręce władają „tajemnicą życia i śmierci” powierzonego jej przez Boga stadła ludzkiego...

Czy to, powiedzmy, jakie tam bądź „opętanie”, czy „urok”, czy „zmora”, czy „kołtun”, czy „nawiedzenie przez złego”, wszystko to dla niej nic nie znaczący drobiazg, mniej więcej tyle co nic... Taka ona —

ta babka... Jeżeli znów weźmiemy na ten przykład: „zęby”, „przelek”, „przeziębienie”, czyli też gdy wyskoczą gdziekolwiek jakie „krosty” — to dla osobliwie wtajemniczonej babki Pelasi znaczy nie więcej, niż ręką machnąć... Jeżeli zaś, powiedzmy, jakie tylko chcecie „pępowiny”, jednak, czy męskie lub wprost przeciwnie, żeńskie, to baba Pelasia zerknąć nawet na nie nie chce, bo to dla niej tyle co spluć... Ta-ak! Co tu dużo gadać, bez wątpienia wszechwiedząca baba — taka prawdziwie „wszechwiedząca baba”... Nie da rady: taka już jej robota. Medycyńska...

Moim zdaniem baba Pelasia jest bardziej profesorska od samego profesora. Bo cóż profesor czy dochtór? Tylko z książek potrafią chorych leczyć.

A baba Pelasia, choć i bez książek, ponieważ sama niektóre prawa ustanawia: („przykrywaj dziecę czarną chustą, bo ci je zuroczą” itp.) no i sama, oczywiście, swoimi własnymi rękami, swoim językiem i swoim własnym zardzewiałym nożem ludzkie zdrowie chroni...

— Żadne wasze dochtory tego nie odczynią, a ja odczynię!

Tak mówi o najgorszym „uroku”.

— Na przykład u Pryśki. Marynka prawą rączką nie władała, a lewą władała... Do mnie przywieźli: teraz jednak oboma nie włada... A przedtem tylko jedną... No, wasze dochtory tak potrafią?

Taka ci ona jest, ta nasza babka Pelasia, pasiczański profesor!

„Odczynia” babka wszelakie choróbska, i chirurgiczne i wewnętrzne, oczne i zębne, kobiece i wszelakie inne.

Nie mówiąć już o takich chorobach jakich żadna

patologia nie notuje, te właśnie najstraszniejsze i najbardziej rozpowszechnione wśród pasiczańców, a mianowicie: „przełęk” i „urok”.

Choroby chirurgiczne

Wszystkie choroby chirurgiczne dzielą się na wsi na dwie podstawowe grupy:

Pierwsza grupa — to „beszycha” czyli „wścieklica”.

Druga grupa — to „wych”.

„Wych” spotyka się rzadziej.

Ale „beszycha” to już epidemia... Dużo się jej trafia na wsi.

„Beszychę” rozpoznaje się na podstawie następujących objawów:

— Babuniu! Coś mi lewą kulszę rozpiera i rwie. Pod pierś także samo mnie ssie... I mgli mnie, mgli niemożebnie, i niby ja, to nie ja, ino ktoś inny przed wami siedzi! Oj! Joj! Joj!

— Co, nie ty, tylko kto inny siedzi? Otóż to, moja gołąbko, to ona — „beszycha”. Nuże siadaj, serdeńko, na pokuciu. Zaraz ją wygonimy. Jak nie zemrzesz, moja ty rybeńko — to żyć będziesz.

Leki na „beszychę” jak i w ogóle wszelkie środki lecznicze są u babki Pelasi „patentowane”...

Wielce skuteczny od „beszychy” jest następujący „lek”:

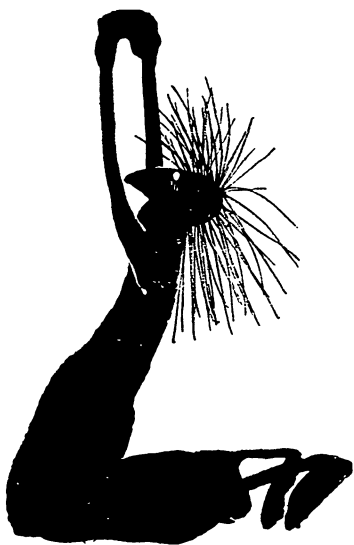
Chorą sadza się na pokuciu (miejsce w kącie izby) na wprost ikony i odmawia się trzykrotnie:

„Ojczy nasz, któryś jest w niebie...”

Potem podchodzie do chorej, łapiecie za miejsce, które ją boli, następnie własnymi wargami oblizuje-

cie swoje palce, te właśnie, którymi trzymaliście chore miejsce, po czym bierzecie noża i przykładając go ostrzem do miejsca bolącego powtarzacie szeptem dwanaście razy:

— „Matka Boska z Kijowa wracała, Zbawiciela, Syna spotkała. Ciebie o rodzzonego, chrzczonego (imię) proszę byś błogosławiła i od beszychy uwolniła. Siedemset siedemdziesiąt strzyg, zmór napotkanych, sprzecznych, rzecznych, wietrznych, przezornych, żeńskich, męskich, młodzieńczych i dziewczęcych proszę, aby krwi nie wysysały i kości nie łamały”.



Następnie trzykrotnie się obracacie:

— Tfu! Tfu! Tfu! Niech zginie, niech szcześnie, a ciebie niech Bóg pod opiekę weźmie...

Cały ten rytuał należy powtórzyć dwanaście razy...

I koniec... Kropka.

Bądźcie pewni, że jak nie pomrzecie, to żyć będziecie...

„Wych” to już całkiem inna choroba... I leków zupełnie innych wymaga.

Tym razem przed „zażyciem” leku nie „Ojcze nasz”, lecz „Zdrowaś...” trzeba trzykrotnie palnąć, a dopiero później zażyć „leku” od „wychu”.

Lek od „wychu” jest następujący:

„Zamawiam kości rodzonemu, chrzczonemu (imię) od wychu i wyganiem w trzcinę i błota. Abyś nie



wróciła, czerwonej krwi nie piła, kości nie suszyła... Nie ja pomagam, a Bóg wspomaga..."

I tym razem:

— Tfu! Tfu! Tfu!

Za rok — dwa tylko patrzeć jak krowa wasz „wych” wylże.

Do chirurgicznych chorób zalicza się także wszelkie krwotoki we wszystkich odmianach.

Od „krwi” leki są szybkie, mocne i radykalne.

Oto one:

„Jechał człek stary, a pod nim koń kary, po roślinach, po drogach, rojstach i mostach. Ty matko ruda żylna, żylasto-cielesna, drogę skróć i do tyłu się wróć. Stary człek ciebie zbiera i do spoczynku zagrzewa. Kiedy mój koń wody nie dostanie, to niech i ciebie, ruda matko, nie stanie. Puch, glina — to jedna rodzina! Stanie się wedle mego — słowa mocarnego”.

Tfu! Tfu! Tfu! (Obowiązkowo).

Najgłówniejsze w tych „lekach” (od krwi) jak sami pownieście zauważyli są słowa: „Puch glina — jedna rodzina”. Pełne głębokiej treści. Działają jak gumowa opaska na krwotok. Jak tylko wypowiedziecie te słowa, to krew ustanie w trzy miga.

Choroba oczna

Zwie się „bielmem”. Wszystkie choroby oczu — to „bielmo”. Innych nie ma. A leki na nie są bezkonkurencyjne.

Rozpoznać „bielmo” u każdego człowieka jest bardzo łatwo. (Przynajmniej łatwo umie je rozpoznać babka Pelasia.)

Kiedy przyjdzie do was chora i będzie się trzymać za oko, orzeknijcie od razu:

— Bielmo! Od razu poznałem! — I aby nie pozwolić chorobie przejść w stan chroniczny, przystępujecie natychmiast do dzieła:

„Pomóżże mi o Boże! Przenajświętsza Panienko, Matko Wybawicielko! Przyjdź mi z pomocą i dopomóż u rodzzonego, bogobojnego (imię) bielmo z oka wypędzić. Jechał święty Jerzy na białym koniu, z białymi chartami, białego zająca pojmać. Białego zająca nie pojмали — u rodzzonego, bogobojnego, chrzczonego (imię) bielmo z oka wygnali. Szli trzej ojcowie święci, za nimi trzy okrutne zwierzęta: pierwszy czarny, drugi biały, trzeci szary. Jak ujrzeli — bielmo zdjęli...”

Tfu! Tfu! Tfu!

B ó l z ę b ó w

To już oczywiście błahostka. Przejdzie w oka mgnieniu, błyskawicznie, powtórzcie tylko trzy razy:

Księżyc na niebie,
Niedźwiedź w lesie,
Bracia trzech nierozłączni!
Jak się wybieriecie po polu gnać
Wówczas (imię) bogobojnego, chrzczonego,
Zęby zaczną grać!

Tfu! Tfu! Tfu!

Jak widzicie to „tfu” konieczne jest niezbędnie przy każdej chorobie. Bez „Tfu, tfu, tfu” nic nie pomoże.

Choroby kobiece

Choroba kobieca jest tylko jedna. Tak zwana „sojasznica”. Bywa ona wtedy, gdy „klapa” nie jest na miejscu. Choroba niezwykle poważna i należy ją umiejętnie leczyć. Ale dla naszego „prochfesor” to nie więcej, jak... (dalibóg nie potrafię znaleźć odpowiedniego porównania).

Leczenie „sojasznicy” ma swoją logikę. Mało tego, nieodpartą logikę. Jeżeli „klapa” nie jest na miejscu, to znaczy, że trzeba ją właściwie ustawić. Ot i wszystko. Ale jak to uczynić? Szkoda gadać, tu potrzebne są wielkie kwalifikacje! Jednakże spokojna wasza głowa, babka Pelasia i to potrafi. A Ministerstwo Zdrowia ani nie umie, ani nie potrafi. Ono tylko urządza rozmaite nikomu nie potrzebne lecznice ginekologiczne, domy położnicze i temu podobne ośrodki. Wyrzuca niepotrzebnie kupę forsy... Cała zaś sztuka polega na tym, by do makutry (donicy do tarcia maku) włożyć trochę konopi, zapalić je i przy-

stawić brzegiem do pępka. Niby taką ogromną „krwiosącą bańkę”. Ona już jak naciągnie to i „klapę” przeciągnie na właściwe miejsce... Konieczny jest przy tym wielki kunszt, gdyż trzeba uważać, by makutra nie wciągnęła w siebie całej chorej wraz z wnętrznościami. Jak tylko makutra wciągnie w siebie cały brzuch, to trzeba w nią



walnąć z rozmachu wałkiem do tarcia maku, tak zwanym makogonem... Wtedy „puści”. I po krzyku. „Kłapa”, ani chybi, znajdzie się na swoim miejscu.

Ze przypadnie makutra? Mało ważne! Dla uratowania człowieka nie szkoda makutry, bez względu na jej cenę.

Aha, zapomniałem jeszcze napomknąć o chorobach „wewnętrznych”.

Z chorób wewnętrznych trafia się najczęściej tak zwana „wnętrzna sybirka”.

Jest to choroba od której najczęściej się umiera, mimo to że idą z nią do babki Pelasi akurat wtedy, gdy pierwsze koguty pieją.

Niestety, pacjenci zawsze się spóźniają...

— Trza było, gołąbko, przedwczoraj przyjsć do mnie, a teraz wąpię, czy dam radę.

— Babuniu! Przecie przedwczoraj jeszcze byłam całkiem zdrowa!

— Oj, nie, nie, koteczku! Trza było...

*

A tak w ogóle to „ochrona zdrowia na wsi” była na bardzo wysokim poziomie. W każdej wiosce było po pięć — sześć „ośrodków” lekarskich, jeżeli nie więcej. I „leków” tak samo sporo. Nawet więcej. Sądzę, że gdyby ich było nieco mniej, to by popy nie zarabiali tyle na „sorokouście” czyli nabożeństwie czterdziestodniowym za umarłych.

P.S. Wyżej wspomniane „modlitwy” udało mi się z ogromną trudnością i po zastosowaniu niejednego fortelu uzyskać. Ba-by na wsi niechętnie je przekazują, bowiem po wypowiedzeniu ich „tracą one swoją moc”...

CUD

Łzy Boże wierzbiny". Co to znów za „łzy Boże"?... Otóż to, w Lentracie cud się zdarzył. Pytacie jaki? Powiem wam: taki, że te rozmaite „łzy Boże wierzbiny", różne tam „objawienia", „odnowy obrazów świętych" czy też „krew boska" z krzyża w Kalinówce — to zwyczajnie mięta z bobrem w porównaniu z cudem w Lentracie. O!

— Opowiedzcież, mój drogi.

— Cóż, posłuchajcie... Na samiuśkiego Jana w Oleju, po południu, gdy właśnie słońeczko ku wieczorowi się chyliło, wyгнаła Kalina krówkę swą Łysą z dworu. Gnała ją do wodopoju. Popędzała ją, pohukiwała, chruścinką pomachiwała...

Akurat wietrzyk był nieduży... Aż raptem jak ci zawieje, jak zahuczy, jak ci zagwiżdże naokoło... Dwaj diabli za czuby się chwycili — wicher... No i zakreśliło... Królowo moja Niebieska... Jak ci podskoczy do naszej Kaliny, spódnice na sztorc jej podniesie... I wykreci ją na miejscu młynkiem... a potem fajt i jak ci ją rzuci w górę... Przymknęła nieszczęsna kobiecina oczy i dawaj z lęku szeptać:

„I zmartwychwstanie Pan i w proch zamieni nieprzyjacioły swoje".

A to jak ci ją zamaluje w pysk, jak zarechocze, jak ci nie ryknie:

— Ho-ho-ho! Nie zamieni w proch,
Kalino!

Ona zaś, bidula nasza, jeno oczy-
ma zamruwała, spojrzwała, widzi:

Jej krowa, Łysa, tuż obok, też leci
w górę. Ryczy i ogonem merda...

— Żegnajcie, dziatki kochane,
gołąbeczki! Capnęły mamę waszą
diabły... Za grzechy chyba, za wiel-
kie...

I z oczu Kaliny łzy się potoczyły
jak groch.

A Łysa pobekuje i jak gdyby lu-
dzkim głosem powiada:

Żegnaj mój cielaczku czarny z białą plamką na
brzuszkul! (W sam raz na święty Jerzy łaciatego
cielaczka wydała.)

I Łysej też łzy z oczu popłynęły wielkości
fasoli.

Lecą obie, Kalina z Łysą het tam w nieznane
i obie rzewnie płaczą...

Nagle jak ci Łysa nie ryknie przeraźliwie, jak
nie zawyje... Widzi Kalina — coś Łysą chapnęło
za rogi, szarpnęło i rogi jej zerwało... Zerwało, kilka
razy na nie splunęło i Kalinie do czoła przystawiło...
Tak i od razu do łba przylgnęły. Potem jak chwyci
Łysą za ogon i pociągnie. Patrzy Kalina, a krowie
jeno racica się telepie. Kręci tą racicą jak kopyścią.
Wtedy coś podlatuje do Kaliny, rozwiązuje postro-
nek, ściąga kiecę i ogon przylepia. Przylepiło ogon,
złapało zapaskę, zdarło ją i znowu do Łysej. Za-
paskę i kiecę wdziało na Łysą i tak zarechotało,
że aż Kalinie szpik w kościach zmroziło. Chciała coś



nieszczęsna kobiecina krzyknąć, ale zamiast słów wyrwało jej się:

— Mm-m-m-u!

Tymczasem zaś Kalina słyszy jak Łysa ludzkim głosem do Boga się zwraca:

„I zmartwychwstanie Pan i w proch zamieni nieprzyjacioły swoje”.

Przemieniło Kalinę w krowę, a krowę w Kalinę...

Znow coś zarechotało, jeszcze mocniej zagwizdało i wysoko w górę uleciało...

Rzuciło Kalinę do obory, a Łysa znalazła się w chacie.

*

Stoi Kalina w oborze... Chciałaby się położyć, ale wszędzie gnoju pełno... Nawóz i nawóz. Poruszać by się po oborze, ale jak — kiedy ciasno i nogi grzęzną. Zajrzała do żłobu, a tam sama sieczka i lebioda krojona...

— A niech cholera weźmie gospodynię, co tak się krową opiekuje — pomyślała. — Sama pewnie na poduszkach w chacie się wyleguje, a ja tu po kolana w gnoju. Wam krowy trzymać, gospodarze zafajdani! Kozę wam, a nie krowę trzymać. Zresztą, i kozą nie potraficie się zaopiekować. Też mi gospodarze. Z czego tu mleka im dawać...

Jeno te słowa wyrzekła, a tu drzwi skrzypnęły — Łysa ze skopkiem weszła.

— Nuże, nastąp się, cholero! Patrząjta, żebra wystawiła...

J skopkiem ją pod boki.

A potem:

— Chodź no, stara...



— Boże — pomyślała Kalina — kiedyż się domyśli mnie bez cielaka doić. Przecież to tylko mleko psuje.

Patrzy Kalina na Łysą i głowę kiwa.

A ta:

— Czego się najeżyłaś?

I czubkiem buta w podbródek...

Patrzcie no ją!

— I za co — myśli Kalina — mnie bijesz? Com ci złegó zrobiła?

I z rozpaczyny tej aż zapłakała...

Zasiadła Łysa Kalinę doić...

Sutki nie umyte, nie posmarowane... Brudne, po-

pękane, bolące... Podpląsuje Kalina jak na węglach gorących...

A Łysa ją pięścią pod brzuch:

— Stój ścierwo! A żeby ci gały wylazły i zęby się posypały! Stójże!

Stała Kalina i zapłakała.

— Ech, gdybym była gospodynią! Nigdybym się tak z krową nie obchodziła!

*

Raptem znów coś zahuczało, błysnęło, jęknęło i wrzasnęło:

— Aha-a?! Aha-a?!

I już przy Kalinie. Zerwało jej z czoła rogi, ogon obciachnęło. Nie zdążyła się opamiętać, patrzy — siedzi pod Łysą i doi ją, a krowa grzęźnie po kolanach w gnoju...

*

Ot, co się zdarzyło...

— No, a dalej?

— Nic! Sprzedała Kalina Łysą i kupiła Pstrą... A teraz Pstrą wali po brzuchu...

— Znaczy się, niczego jej to nie nauczyło?

— Ani ty... Nic...

G Ł O Ś N I K

Ale życie u nas niebawem nastąpi, towarzysze kochani!

Oj i będzie nam lekko i przyjemnie oddychać!

Och i chwałę zaczniemy głosić ziemi i niebu — chwałę wszechświatowi za radość i spokój, za wytchnienie naszej duszy zbolałej!

A wszystko dzięki nauce! Dzięki radiu! Czegóż to nie osiągnie ludzka myśl przenikliwa, czegoż nie wynajdzie!

Na samym środku placu stoi budynek. A na dachu tego budynku trąba wielgachna... A z trąby tej bez przerwy leją się mowy rozmaite, grmią orkiestry dęte i śpiewy wszelakie...

To głośnik.

Gdzieś na dwudziestej ulicy odbywa się narada, a tu słyhać wszystko, jakbyś w niej uczestniczył... Czy tylko? Hejże! Nawet pięć — sześć ulic dalej i to słyhać...

A dzięki czemu? Właśnie, dzięki nauce! Dzięki radiu!

Pomyślcie tylko, po jakiej drodze idziemy i gdzie skręcamy!

Siądźcie sobie i pomyślcie...

To przecież wyście likwidowali analfabetyzm...

Zaprowadzili spółdzielczość... Meliorowali... Intensyfikowali rolnictwo... Zatraktorzaliście się... płodozmienialiście się w sześciopolówce... Ardenowaliście kobyłę, krowę sementowaliście, knura jorkszejrowaliście...

No i siedzicie teraz uczesani, wypoczęci...

— He! — powiadacie do żony — Oktiabryno, na targ jadę, po głośnik!

— Jedź, jedź, Kimie, jedź i to zaraz! Trzeba było już dawno. Z głośnikiem lżej i raźniej na świecie...

Pojechaliście i już go macie...

No i zaczyna się spokojne, wesołe życie...

Założyliście, na ten przykład, ogród, lub, powiedzmy, zasialiście w polu zboże, czy w sadzie wiśnie dojrzały...

A złośliwemu ptactwu w to tylko graj, nala-tuje, dziobie... Co przy tym biegania, krzyku, wrzasku...

A wy tymczasem w sadzie czy ogrodzie (według własnego widzimisie) zawieszacie głośnik...

Leżycie w chałupie i „Nową Wieś” czytacie...

Przeczytaliście stronę i w trąbkę:

— A kysz, cholery, bodajbyście pozdychały!

Jak ci z głośnika gruchnie tam w sadzie czy ogrodzie:

— A kysz!!

Po szkodnikach śladu nie ma.

Nie trza biegać, gardłować...

Albo, powiedzmy, arbuzy dojrzały.

Zawieszacie głośnik w szałasie, a sami jak gdyby nic wracacie do chałupy.

Około dwunastej tylko się ockniecie ze snu, w trąbkę:

— Trzymaj! Łapaj! Bierz ich skurczybyków!

Jak szczury z tonącego okrętu wieją z ogrodu pastuszkowie, jeno pięty im migają...

No, a po tym przewracacie się na drugi bok, Zdrowaśkę — i znowu chrapa.

Nic się nie zziąja człek. Nawet strzelby solą nie musi nabijać...

Traktor za was orze... W chałupie głośnik... Słoneczko się wyżej podniosło, czas na obiad... Tylko w trąbkę:

— Oktiabryno, kluchy!

I jechać nigdzie nie trza i czas się nie marnuje.

Dopiero, towarzysze, nastąpi życie, bo — wielka rzecz radio!

NA CHŁOPSKI ROZUM...

Żyłła — była sobie na wsi staruszka wdowa, a miała ta staruszka wdowa syna, junaka — śmiałego, chwata — odważnego...

Żyłła sobie ta wdowa i żyła, aż głębokiej starości dożyła, ale czytać i pisać tak się i nie nauczyła...

— Gdzie już ta nam? — mawiała. — Niechaj tam młodsii...

I chociaż wdowa ta czytać i pisać nie umiała, to jednak lubiła, gdy świętej pamięci nieboszczyk mąż czytywał jej na głos o „Plagach egipskich”, „Żywot Serafina Sarowskiego” czy o tej „Toczącej się po świecie głowie cudotwórczej”.

Ileż to razy dłonią podpierała podbródek, schylała się nad stołem i z uwagą słuchała...

Nie ma co, lubiła wdowa posłuchać tego, co inni napisali...

Zmarł stary...

Podrósł syn, śmiałek — junacki, odważniak — chwacki. Teraz wracał z pracy zaabsorbowany sprawami, siadał przy stole, splotał na palec i zabierał się do wertowania rozmaitych papierzysk...

A stara wdowa sadowiła się w kącie i przędła swój len...

— Przeczytałbyś mi co, syneczku. Coś ciekawe-

go... Od czasu jak stary zmarł nikt mi nic nie czyta, a ja sama nie potrafię...

— Cóż ja wam, mamó, przeczytam? Nie mamy przecież teraz w domu takich książek jak „Siedem plag egipskich”, „Żywot Serafina Sarowskiego” czy „Tocząca się po świecie głowa cudotwórcza”...

— Tak, synku, prawda... Jeszcze stary, niech mu ziemia lekka będzie, zużył je na skrętki, kiedy bibułki zabrakło... Ale ty cokolwiek mi przeczytaj... Przecie w tej Gromadzkiej Radzie piszecie różne różności... Ot i przeczytałbyś mi to, co tam piszecie...

— Mamó, my tylko protokoły piszemy.

— Niechaj ci będzie, posłucham...

— No jak już tak chcecie, to posłuchajcie...

Weźmy na ten przykład:

Słuchali:

O tym, że w szkole
są okna powybijane.

Postanowili:

podjąć stanowcze kroki...

— Znaczy się, synku, że w szkole szybki są powybijane?

— Dyc tak, mamó.

— No i co postanowiliście?

— Podjąć stanowcze kroki...

— Patrzcie no, jak to po nowemu. A na mój rozum, lepiej by było, gdybyście napisali: „Powprawić szybki w szkole”.

— E, e, to po waszemu, mamó... Ale, słuchajciez dalej:

Słuchali:

O pracy kulturalno-
oświatowej.

Postanowili:

Podjąć stanowcze kroki
w sprawie pogłębienia pracy
kulturalno-oświatowej na wsi.

— Co, jak?... „Podjąć stanowcze kroki w sprawie pogłębienia?”... A prościej nie można? No, powiedzmy, napisać o tym, co trza zrobić, aby tę samą, jak ją tam, pracę wykonać?

— Oj, co wy tam rozumiecie, mamó?

— Toć mówię, że nie rozumiem tego, coście napisali.

— A jakbyście chcieli?...

— Tak bym chciała... to co trza wykonać, o tym bym napisała, a nie plotłabym byle czego...

— Konkretna z was kobita, mamó!

— Nie wiem tam, jaka jestem... Ale wy piszcie do rzeczy, bo aż przykro słuchać...

MIÓD

Miód — słodka rzecz — powiada nasz najstarszy bartnik, dziadek Głuszko.

Siedzimy w pasiece, pykamy fajeczki i pszczołki podziwiamy... One zaś na tle słońca złocistym deszczem do ula wlatują...

I huczą i brzęczą...

— Brzęczą. Miód znoszą.

— Dobrze, dziadku, żyjątko. Maciupęńkie, zwawiućkie... Nim się obejrzysz — zima, a tam pierożki z miodkiem.

— Dzielne, nie powiem, stworzonka. Patrzcie no je, jak brzęczą.

— Ta-ak! Zabrzęczałem ci ja niedawno. Aż zahuczowało, bracie! Jużem myślał, że amba! No, pomyślałem, krycha przyszła na starego Głuszkę!

— Co, tak ni z tego, ni z owego zahuczeliście? Po pszczelemu, czy jak?

— Po pszczelemu... Jakem gruchnął, tom już pewności nie miał czy baba moja kostki pozbiera... A wszystko przez ten język podły. Nie wstrzymasz się od grzechu, palniesz głupstwo i rzuci cię. Z pszczołami trzeba tylko po dobremu... Stworzonka one Boże i porządek lubią...

— Gadajże, dziadku, co ci się przytrafiło?

— Przytrafiło... Takie coś mi się przytrafiło, że dotąd łązę w troje zgięty... Rój zbierałem... Zaraz po obiedzie wyszedłem do ogródka, patrzę: chmara wali... Capnąłem słupek, wziąłem drabinę i czekam, gdzie siądzie... Usiadły na tamtym wiązcie... Chociaż i wysoko, ale nie powiem, by niewygodnie było. Drabina sięga, a i słupek można przystawić tak, że tylko trząchniesz — i po wszystkim. No, myślę, mój rój teraz będzie. Przystawiłem drabinę, polazłem... Słupek gracko ci ustawiłem, w porządku... Tylkom się odważył trząsnąć, w złą godzinę lichy podkuśiło, wybacż Boże grzesznemu:

— Dż-ż-ż!

— Co, w nos?

— Ale tak boleśnie, jak nigdy. Odmachnąłem się. Łzy tylko ciurkiem spłynęły: Kap! Kap! Czuję, nos nabrzmiewa. Puchnie z miejsca.

Jeszcze trząchnął...

A tu sztuk dziesięć jak mnie w łeb smalnie:

— Niechże was diabli...

Tylkom wyrzekł: „diabli”, a tu:

— Trzask!

(Ale słupka z rojem z rąk nie puszczam).

Trzask-prask! — i tu jak mnie śmignie, jak z procy, dalibóg, wybacż mi Boże, z pięć sążni, nogi do góry, głowa w dół... Pofrunąłem, jak ten jastrząb. A dalej, jak ci mnie rzuci — ażem zawył. Mało, że rzuciło, to jeszcze słupek wtyrlił się na głowę. A one jak mnie obsiadły ze wszystkich stron... Jakem wyskoczył ze słupka i chycnąłem, to się ocknąłem aż w sadzawce obok świń... Upadłem i stękam. Wyciągnęła mnie stara z sadzawki i z trudem do chałupy przywlekła. Jużem się nawet wypowiedała. Ot jakiego miodu mi dały. Takie to buty. „Nie wzywaj dia-

bia, jak się pszczołami parasz" — powiada stara. I racja. Szczera prawda, mówię ci! Spraktykowałem: jak tylko w pasiece diabelskiego imienia wezwiesz, lepiej zawczasu umykaj. Szczególnie, gdy za rojem leziesz. Diabeł, a do tego przy spróchniałej drabinie, zawsze ci taką urządzi polkę... A miód... miód, szkoda gadać, słodka rzecz...

TEN... POTRAFI...

W pewnej wsi traktor narobił takiego bigosu, że mieli już po popa i chorągwie biec...

Traktor ten zwie się „Zaporożec”, ale co to ma do rzeczy: podobną chryję mógłby odwalić „Zaporożec”, „Fordson” i każdy inny.

No cóż, kupili traktor...

I przywieźli go...

Wzięli, wybróbowali: pracuje na medal...

Mechanika odwieźli na dworzec, pięknie mu podziękowali, czapkami na pożegnanie pomachali i mistrz pojechał...

Wrócili do domu!

— A teraz ty, Iwanie, włącz na traktor: popatrzmy jak on pojedzie! Widziałeś przecie jak go mechanik nakręcał?

Włączył Iwan...

Coś tam nacisnął...

Traktor chrząknął, drgnął i ruszył...

Ruszył, diabeł!

Iwan siedzi, a traktor zapycha...

Stał płot... Traktor po nim... Leży płot...

Tuż stodoła... Traktor po niej... Leży stodoła...

Ot i ogród... Traktor w ogrodzie... zasuwa, aż dymi...

W ogrodzie kapusta... Traktor wali... Słyszać tylko jak główki trzaskają...

Tu już baby nie wytrzymały.

— Ratunku, ludzie!!!

Chwyciły za drągi. I w ślad za traktorem...

Traktor się tylko uśmiechnął i mknie po ogrodzie...

— Biegnijta — krzyczą baby — po popa, bo z warzywami krycha!

Czy pop z chorągwiami przyleciał, tego nie wiem, ale wiem, że Iwanowi jakoś się poszczęściło, nacisnął na odpowiedni pedał...

No i stanął traktor...

Stanął, spojrzął na Iwana, głową pokiwał i coś mu rzekł.

Ale co? O to już zapytajcie samego Iwana...

MORZE

(garść wiadomości przyrodniczych)

Morzel — Tym razem — Morze Czarne, czyli morze, które jest czarne.

Nie Białe, a właśnie Czarne...

Znaczy się taki ogromny dół, taka olbrzymia jama po brzegi wypełniona słoną wodą...

Krawędzie otaczające tą jamę nazywamy brzegami... Dno — tak i pozostanie — dnem... A woda, jak to powszechnie wiadomo jest wodą...

Ot i morze...

Morze po to właśnie istnieje, by się w nim kąpać i patrzeć na nie...

Patrząc na nie, macie widok na morze...

Kąpiąc się w nim, zażywacie tak zwanej kąpieli morskiej.

Prócz tego płyną po morzu statki, okręty, różne pancerniki, ale płyną daleko od brzegu i dlatego trudno sięgnąć po nie ręką...

Będę pisać tylko o morzu i o tym, w co jest zasobne, czyli o tym, co, że tak powiem, można pomacać, zgodnie zresztą z naszym mądrym przysłowiem...

„Jak nie pomacam, to nie uwierzę!”

Spoglądając z dystansu na morze spostrzegacie przede wszystkim — wodę...

Ale gdy jesteście już przy samym morzu i gdy macacie je ręką, to czujecie, że jest mokre... Po dotknięciu ustami ręki wiecie już, że jest słone, no a prócz tego spadają krople... Stąd niewątpliwy wniosek — to woda...

Pomacaliście brzeg — jest twardy...

Nie ulega więc żadnej wątpliwości — to morze...

Mając już mocne przekonanie, że się jest na morzu, można je teraz obserwować dalej...

Znane nam są trzy gatunki mórz: ciche morze, falujące morze i wzburzone morze. Ciche morze to takie, w którym woda jest cicha... Obojętnie, powoli i po cichu się huśta i pluska leniwie o brzeg i marszczy grzbiet pod wpływem gorących promieni słonecznych.

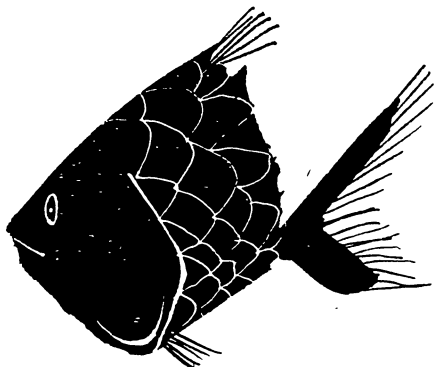
Falujące morze — to taki pastuch... Pastuch pędzący duże stado baranów w stronę brzegu, goniący je z krzykiem, wściekłym gniewem, często wyprzedzający stado i wyrzucający swoje barany na brzeg z chlupotem, porykiem i szumem.

A barany wyskoczywszy na brzeg toczą przybrzeżny żwir, popychają go swoim białym runem, bełkoczą, zgrzytają i rozpryskawszy swoje białe runo na otoczakach, cofają się z powrotem do morza i toną... A morze rozwścieczone, bo nie potrafiło ani jednego barana wygonić w całości na brzeg, popędza je jeszcze zawzięciej i natarczywiej.

I tak się dzieje przez dzień, dwa, trzy, aż morze nie machnie lekceważąco dłonią:

— Głupiego robota!

Nareszcie ogarnia je spokój i stopniowo przekształca się ono w ciche morze; powoli zaczyna się



kolebać, chlupać spokojnie, myjąc w swoich fa-
lach słoneczne lance...

Czasami zaś... O, czasami goniąc białe stada ba-
ranków jak się rozwścieczy, jak się zdenerwuje, jak
się rzuci, ryknie, wrzaśnie, to wtedy „ratuj Boże,
wiekuisty i wszechmogący!”

Wówczas morze demonstruje swój trzeci gatu-
nek.

Matulu kochana! Białe baranki przekształcają się
w białe słonie (choć wiadomo, że morze gorzały
nie pije) lub góry, które z rykiem, w podrygach,
przewalając się z boku na bok, biją wściekle o brzeg,
podnosząc żwir i z szalonym łoskotem wdzierają
się w głąb plaży, rozlatując się w powietrzu miria-
dami zwariowanych bryzgów...

Tych wszystkich, którzy to widzą ogarnia ogrom-
ny strach.

Ale mnie nie, bo burzliwego morza w ogóle nigdy
nie widziałem...

*

Morska woda, jak to już wyżej zaznaczyłem, jest
słona, bo zawiera sól glauberską... Dlatego też, jeśli

ktoś zechce na niej ugotować rybią zupę, to niech już tej juszki w żadnym wypadku nie soli.

W morzu żyją rozmaite morskie zwierzęta. Cechą szczególną ich jest to, że nigdy nie cierpią na obstrukcję (patrz wyżej: sól glauberska!).

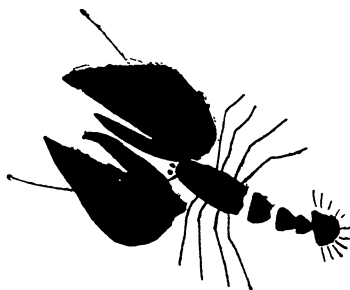
Spośród zwierząt morskich, które widziałem na własne oczy wymienię: delfina, sułtankę, flądre, konia morskiego, krowę morską, kraba, rybę-igłę oraz meduzę.

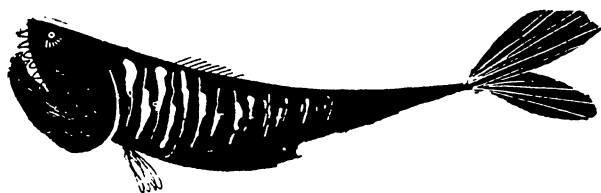
Delfin — to jak gdyby nasz rak rzeczny, tyle że ze sto razy większy... Różni się od raka tym, że rak posiada jeszcze szyjkę i kleszcze, a delfin ani kleszczy, ani szyjki nie ma... Rak ma oczy z tyłu, a delfin z przodu. Rak ma ciało ukryte w skorupie, delfin zaś pokryty jest skórą...

Rak żyje w norach, karczach i wśród rzecznych krzewów, a delfin baraszkuje tuż nad samą powierzchnią morza. Mielibyście nie lada uciechę, widząc jak zręcznie śmiga i skacze bawiąc się nad wodą... Rak żywi się padliną, a delfin żywą rybą... Rak jest jadalny, a delfin nie... Raka się zawsze nazywa — „rakiem”, a delfina za żwawość i zwinność często nazywają „jaskółką morską”... Takie są różnice między rakiem a delfinem... Ale mają jedną wspólną cechę, upodabniającą ich do siebie, mianowicie: obaj, zarówno rak jak i delfin, pływają...

Sułtanka — to ryba. Taka najprawdziwsza ryba. Dlatego się nazywa sułtanka, że sułtani tureccy nigdy takiej ryby nie jedli.

Flądra. Ryba — cyklop, posiada bowiem tylko je-





dno oko. Ważna ryba... Wyśmienita ryba, ale gdy się ją usmaży na wyborowym maśle...

Koń morski... Małeńka, zabiedzona, sparszywiła szkapina o zakreconym ogonie, bez grzywy, ale o końskim pysku...

Nie rzy i owsa nie zře... Ryby morskie wierzchem na nim jadą do siebie w gościnę.

Krowa morska. Podłużna, z dużą głową, dwoma rogami na tej głowiznie, taka sobie bura krówka. Nie ryczy i mleka nie daje.

Krab. Absolutnie niepodobny do naszego szczupaka. Ani do okonia, karasia czy lina. Nawet nie przypomina uklei... Niektórzy uważają, że krab jest trochę spokrewniony z rakiem, ponoć nawet jest jego bratem, ale w związku z tym, że spowinowaciłem raka z delfinem, nie wypada wiązać z nim jeszcze kraba. A zresztą z tego można jeszcze wyciągnąć fałszywy wniosek, że w morzu zamieszkują same raki. Co prawda — to prawda, krab ma skorupę, kleszcze, żyje pod kamieniami, a jednak nie jest rakiem, lecz krabem... Nie da rady: to rak, a to, krab! Niewspółmierna różnica... Ale szczypie, potwór, okrutnie!

Ryba-igła. Najzwyklejsza cygańska igła. Podobna do tej, za pomocą której u nas łata się płachty i wory. Odgrywa nie lada rolę... Za jej pomocą sułtanki czy flądry cerują pończochy lub biustonosze, gdy się wybierają nawzajem do siebie na wesele...

Meduza. Galareta morska... Okrągła jak spodeczek, biała, trzęsąca się, śliska, zimna i przejrzysta... Jak weźmiesz ją do ręki — taje, topnieje. A jak nie weźmiesz — nie taje.

•

Nad morzem latają mewy i kormorany. Mewy są białawe, kormorany — czarniawe. Ryby łapią!

Oto w przybliżeniu naukowy, ścisły szkic poświęcony Morzu Czarnemu sporządzony przeze mnie na podstawie osobistych obserwacji...

KTO WINIEN?

Opowiem wam, moi drodzy, dlaczego nie tak szybko i nie tak doskonale rozwija się u nas amatorski ruch teatralny.

Chociaż, mówiąc między nami, jakoś się tam rozwija, ale mimo wszystko nie tak jakby się pragnęło... A pragnęłoby się, by w każdej wiosce, przynajmniej przy każdej świetlicy, był dobry zespół dramatyczny... Zwarty, niezłomny, solidny...

I też, żeby grał na sto dwa! Jednym słowem, sami wiecie, jakby się nam chciało, aby grał!

Posłuchajcie uważnie, a dowiecie się dokumentnie, gdzie pies pogrzebany...

Otóż opowiem wam, moi drodzy, o pewnym wypadku... Z własnego życia, czyli z własnego doświadczenia. A wiadomo, że własnego doświadczenia mi nie brak... Zresztą nie znajdziecie człowieka, który by w „teatrze” nie grał.

I to nie byle jak, ale jak już grał, to „lepiej niż wszyscy”...

Ja także grałem... I sami się domyślacie, że „lepiej niż wszyscy”...

*

Działo się to może dawno, a może i nie... Założyliśmy zespół amatorski... Założyli go artyści, że „proszę siadać”.

Do szkoły, w której zbieraliśmy się, przychodził często Tereszko, stawał po środku izby i mawiał:

— Niech mi tylko odpowiednią rolę dadzą, a ja, jak Boga kocham, zagram nie gorzej od Sadowskiego! Zapewniam, niech mi tylko dadzą!...

Zresztą, czy tylko on?... Kto by nam w ogóle dorównał?

Ileż to razy siedzi sobie człek w szkole, na nauczycielkę czeka (ona była naszym reżyserem) i marzy:

— Mój Boże, ależ ja wąsy sobie przyprawię! Oj, wyrychtuję koszulę, niebieskie portki i pas czerwony! Niech się Tereszko schowa! Ot, ja im zagram!

A co do artystek? Podobnie jak i my: pierwszorzędne... Siedzą, pestki gryzą, coś szepczą sobie na uszko... Spoglądają na Tereszkę czy na innego i widać jak im z oczu wyziera:

— Poczekaj! Poczekaj! Ja się przybiorę! Ja się w kwiatuszki wystroję! To ci wtedy będzie Sadowski!

*

Dość długo, pamiętam, zbieraliśmy się i dokumentnie wszystko rozstrząsali. Czekaliśmy na sztuki. Nie mieliśmy utworów scenicznych i nauczycielka specjalnie posłała po nie do miasta...

Nareszcie przywieziono sztuki...

Przybiegliśmy do szkoły zadyszani, drżący ze wzruszenia...

Nauczycielka, oczywiście, pokazała nam te utwo-

ry sceniczne : „Oj, nie chodź Hryciu, na wieczornice” oraz „Niewolnika”.

— Zaczniemy — rzekła — działalność od sztuki „Oj, nie chodź Hryciu, na wieczornice”. Sztuka nadzwyczaj dobra... Marysia truje w niej Hrycia, a sama śpiewa... No i Choma też zarzyła siebie nożem... Wspaniała sztuka.

Przeczytała nauczycielka nam tę sztukę... Naprawdę wspaniała. O miłości... A co do ról, to dwie szczególnie dobre: role Hryćka i Marysi...

— Oj, jakby mi tak dali zagrać Hryćkę — pomyślałem.

A Odarka, Przepiórczanka, przysunęła się do mnie i po cichu powiada:

— Ja zagram Marysię, a ty Hrycia? Zobaczysz, zagramy koncertowo! Ale pamiętaj — całować się będziemy tak, na niby, nie dotykając się wargami... Niby wargą dotknie wargi, ale cmokania żeby nie było naprawdę... Dobrze?

— Dobrze — powiadam. — Zgoda!...

— A więc pamiętaj o naszej umowie!

— Teraz — powiada nauczycielka — rozejdziemy się do domów. A jutro przyjdziecie i rozdzielimy role...

Przez całą noc nie zmrzyłem oka: wciąż widziałem przed sobą przyprawione wąsy. Myślałem też o tym, jak podkrążę szminką oczy, aby były duże, szerokie, rozwarte... Pomyślałem również o scenie padania, gdy mnie Marysia już otruje... Wyciągnę się — marzyłem — jak długi... Wywałę się na fest, jak gdyby rzeczywiście ta trucizna mnie wzięła, podniosę prawą nogę, która konwulsyjnie zadrży i żałośliwym głosem zwrócę się do partnerki:

— Coś ty ze mną zrobiła, Marysiu?!

I umrę.

A gdy już zasypiałem, to pod płachtą pogroziłem pięścią:

— Czekaście, zobaczycie, jak ja wam zagram!

*

Następnego dnia bardzo wczesnie zeszliśmy się w szkole.

Nawet obiadu nie daliśmy spokojnie spożyć nauczycielce. Przechadzaliśmy się nerwowo po klasie, spoglądając na siebie milczkiem.

— Szkoda gadać, rola Hrycia na pewno mnie się dostanie — myślał każdy z nas w duchu.

— Kto jak kto, ale Marysię to ja muszę zagrać — myślała sobie każda.

Weszła nauczycielka.

— A więc moi drodzy przystępujemy do rozdzielania ról... Marysię, znaczy się, grać będę ja...

Zerknąłem na Odarkę Przepiórczankę:

— Oj — pomyślałem sobie — udał ci się ten „cmok na niby bez dotykania warg”...

Dziewczęta wyglądały teraz jak pszczoły wykurzone dymem z ula.. Wciągnęły głowy w ramiona i utkwiły wzrok w fartuszkach...

— Ty, Odarko — zwróciła się nauczycielka do Przepiórczanki — zagrasz Darynę... Nie jest to wielka rola i dasz sobie z nią radę...

Widzę: ciężko sapie moja Odarka, sapie... I nagle powiada:

— Nie będę chyba grała?! Czasu nie mam... Mama kazała, abym do postu jeszcze naprzędła koplina...

Po czym Odarka wstała i wyszła.

A za nią wszystkie dziewczęta: szur-szur-szur — i z klasy...

Zostali sami chłopcy...

— Nie wiecie czasami, co się stało naszym dziewczętom? — zapytała nauczycielka.

— Kto je tam wie...

— No, a teraz przystępujemy do rozdzielania męskich ról. Hrycia zgodził się zagrać felczer z Dejkakówki. Bardzo dobry z niego artysta... Chłopcy, a który z was zagra Potapa lub Chome?... — po czym zwraca się wprost do mnie.

— Może ty, Ostapku zagrasz Potapa? Z nożem rzuca się on na Hrycia...

— E-e tam, myślałem, że zagram Hry...

— Nie, z Hryciem nie dasz sobie rady. To bardzo trudna rola, pełna tragizmu i dramatyzmu... O wiele lepiej będzie ci odpowiadać rola Potapa.

— Nie — powiadam — nie zagram chyba. Ojciec kazał w tym tygodniu jechać po drzewo... Zagrajcie sami...

I wyszedłem... Szedłem myśląc przez całą drogę:

— Ja mam im grać Potapa?! A sami zagrajcie!

Zresztą wszyscy chłopcy opuścili klasę i poszli...

A co, może nie mieli racji?

Po co mają grać małe, drugorzędne role, kiedy każdy z nich potrafi, i to najlepiej, zagrać Hrycia?!

Rzecz oczywista, nie lepiej niż ja, ale mimo wszystko...

I nic u nas nie wyszło z tej sztuki...

*

No i zapytacie: kto winien? Pewnie myślicie, że nauczycielka?

Otóż zapewniam was, że nie!

Sztuka jest winna! A przede wszystkim autor!

· Kiedy już piszesz sztukę, to staraj się, aby wszystkie role w niej były główne. Czy to ci nie obojętne, jak pisać?! Dlaczego tworzysz dla jednego główną, wielką rolę, a dla drugiego — małą, drugorzędną...

Przez nich właśnie, przez autorów często zrywają się przedstawienia...

A cierpi na tym niesłychanie sztuka teatralna...

No, a teraz wiecie już moi drodzy, kto winien?...

TURYŚCI

A czym się pan trudni? Pański zawód?

— Właśnie, doktorze. Niczym się nie trudnię, Piszę. Siedzę i piszę.

— Aha, siedzi pan i pisze? No, widzi pan, jeżeli się nic nie robi, tylko siedzi i wciąż pisze, to ujemnie to odbija się na płucach... A to dlatego, że przy tym pańskim siedzeniu część płuc funkcjonuje nieodpowiednio. Jak to medycy mówią: wydolność płuc nie jest pełna. Siedzi pan zgięty, zawsze w tej samej pozycji. I sam pan pewnie teraz rozumie, że część płuc funkcjonuje odpowiednio, a część się kurczy... A czas nie stoi na jednym miejscu, mknie... Jak się tak posiedzi przez cały rok — to ta część płuc odzwyczajają się od pracy, pokrywa zmarszczkami i powstaje tam wszelka zastoina... Niby jak ten pług, który stojąc beczynn timer pokrywa się rdzą... Trzeba, znaczy się, wyprostować... Właśnie, tu u nas są wspaniałe warunki... Góry... Najodpowiedniejsze miejsce dla takich płuc — wspinać się w górę i schodzić w dół... Wtedy klatka piersiowa się rozszerza, płuca wypełniają po brzegi powietrzem, wyprostowują się najdalsze zakamarki i cała krew się utlenia... Człowieka ógarnia chęć życia,



wesołość, twarz pokrywają rumieńce, człek młodnieje... Hejże w góry, bracie miły! Będzie z pana zuch!

— Dziękuję, doktorze!
...Hej, w góry!

— Coś pan taki zachwycony, gdzie pan leci?
— W góry! Płuca nie funkcjonują odpowiednio!

Wydolność ich nie jest pełna! Pojawiło się tak zwane zjawisko zastoiny... Krew się nie utlenia... Trzeba się odmłodzić... Nabrać wigoru... Poweseleć... Wypięknąć... Po cholere siedzieć na jednym miejscu?! Trzeba więcej chodzić, wyprostować figurę, nabrać sił!... Ot co!

— Ale przecież góry są wysokie?

— Wysokie? Dla nas turystów?! Dla nas turystów każda wysokość to furda! Nie ma dla nas w ogóle żadnej wysokości! Adiu, Fruziu!

*

A góra? Góra... Jak każda! Nazywa się Kiszka. Rażno na skałę, stromymi ścieżkami, z piosenką naszą donośną:

Po naszej stronie góra,
Po tamtej orle gniazda...
Między dwoma urwiskami
Zlatywała gwiazda...

A głos echem się odbija i dźwięczy, i dźwięczy...
Rozlega się! Chyba z pięć sążni się rozlega...

W góry! W góry!

— Hu-hu-u!

— Khe... Po naszej stronie... góra...

— Wysoko, niech to licho weźmie!

— Po tamtej orle gnia-a-zda!

— Hu-hu-u!

Siadłem!

Spójrzcie no! Ale przed nami — turystami jeszcze szmat drogi!

— Hej, więcej życia! Dajcie płucom pełny wdech!
Niech się krew utlenia...
' Hajda, wyżej!

Oj-joj! Czy jeszcze wysoko?
Siadłem.

Huu-huu!
Bierz się w garść, turysto!
— O-o-o-ch!
Wyżej w górę! A niech cię, wysoko!
Siedzę.

Powstań!
A ja siedzę.

No, pow...
Siedzę...

Siedzę...

Siedzę...

Siedzę...

I siedzę...

H-ej! Jest tam może w dole jaka szczerza dusza ludzka? Łapcie mnie, bierzcie nas, turystów, bo nie wiadomo czemu przekłete nogi nie chcą się trzymać skały... Oj-jej!

...O, Boże, ześlij nam po drodze nie cedry libańskie, ale jakie bądź nasze rodzime bzy leśne, żeby się było za co złapać, bo jak pragnę zdrowia, chyba kostek moich nie pozbierają...

...Nareszcie, uczepiłem się sosny.
Oj-jej!

I leżałem na tym łóżku jak ten Jezus Chrystus,
z łydkami niby poprzybijanymi gwoździami do
łoża...

*

Wyprostujesz płuca — nogi skręca...
Wyprostujesz nogi — płuca skręca...

Jednym słowem, turyści!

KORZYŚCI PŁYNAĆE Z CZASOPISM ROLNICZYCH

Wychodzi, znaczy się, czasopismo rolnicze.

Czasopismo, oczywiście, zajmujące się rozmaitym poradnictwem rolniczym, pouczające jak na roli się rządzić, i w ogóle starające się dopomóc w prowadzeniu gospodarstwa.

No, a co z nim robić?

A więc przede wszystkim zaprenumerować, czyli nabyć.

No, a jak już, przypuśćmy, zrobiliście to, co dalej?

Właśnie, teraz trzeba wiedzieć jak się do niego zabrać...

O gazecie pisałem już do czego ma służyć... Gazeta — wiadomo... Można się nią latem pod gruszą nakryć, aby owady nie cięły... Można też z niej papierosa skręcić, gdy papier nie jest zbyt gruby... I słoninę zawinąć. Małoż to różnych rzeczy można z gazety zrobić?

No, a czasopismo?

O, czasopismo to już nie gazeta... To już rzecz o wiele poważniejsza. Ono wymaga specjalnego podejścia.

Spróbujmy głębiej wniknąć w tę sprawę, abyśmy po otrzymaniu czasopisma głupio gałami nie łypali, nie wiedząc, co z nim robić.

Po otrzymaniu czasopisma trzeba je na stole rozłożyć, okładkę obejrzyć i zabrać się do czytania:

Ot, choćby dla przykładu: „Ra-dziec-ka wieś”...

Następnie:

— Ho! ho! Ale kłamią!

Najlepszy to sposób, zarówno na każdą książkę jak i na każde czasopismo.

— „Ale kłamią”...

Następnie, gdy wszystko uznane zostało za „łgarstwo”, to dalej wszystko już pójdzie jak z płatka.

Wypowiadając sentencję: „ale kłamią” należy rozłożyć czasopismo. Dobrze, ale ono nie jest jeszcze rozcięte. Cóż, bierze się wtedy bez obawy pismo, wkłada się palec między strony i tym samym palcem robi się:

— Drrr!

Na co wam nóż, kiedy palcem o wiele wygodniej... Zresztą po nóż trzeba biegać do kuchni.

Jakżeście już ciarachnęli paluchem, to macie przed sobą rozłożone czasopismo. No, przecięte... To nic, że strony zostały poszarpane w strzępy. Grunt, że szybko...

Po rozharataniu pisma bierzecie się do czytania:

— „Kiedy należy siać?” No i piszą?! A niech ich dunder świśnie z takim pisaniem. Trza, powiada, siać! Dwadzieścia pięć lat bez ich czasopisma sieję. Na jaką cholere mi ich pouczenie?...

Ziemia, dla przykładu, nie rodzi... Nałóż, powiadają, ziemię do garnka i nieś to Wydziału Rolnego „PRN”.

Banialuki!

Przerzućcie parę stron dalej.

„Zwalczajcie gąsienice, bo zmarnują wam sady... Niszczcie zimą gniazdzka szkodników na drze-

wach..." Mędrki. I po co oni to wypisują... Jak gdybym nic więcej nie miał do roboty... Też przyjemność łązić zimą po drzewach! Toż ja latem za Boga na nie nie polizę, to po kiego licha diabli mnie wtrynią na nie zimą? No i pismaki!

A dalej...

„Bydła lepiej nie paść na wygonie, natomiast pożądanym jest wysiewać na pastwisku trawę pastewną: wtedy będzie i siano i bydło...” Ejże?! Swojej babci to opowiedz!... „Nie paść bydła?” He, a może doradzisz mi, abym dla chudoby altankę w ogrodzie wybudował, aby się mogła w cieniu ochładzać, a ja żebym wachlarzem z niej muchy odganiał? Już leć! Jak się paśło, tak będzie się dalej paść... I jak zawsze na święty Jerzy nabożeństwo odprawimy i niechaj sobie bydełko z Bogiem trawkę poszczypuje... A wy sobie dalej popisujta...

Potem jeszcze raz zerknie na to czasopismo, pomiętosi w rękę i do żony:

— Oksano! Wytnij z tego wyściółkę do butów, bo tamta się już starła.

Taka jest korzyść z czasopisma...

A na jesieni, gdy za podatkiem przyjdą, stęknie:

— Raa-a-tujta! Ludzie! Z czegoż ja wam dam, dyć sam perz zebrałem. Sad gąsienice pożarły, krowa nawet dzbanka mleka nie daje...

Tak, ale za to buty ma z wyściółką...

DZWOŃCE

Drrrr!... (pauza). Drrrr! (pauza) ...Drrrr! Brzęczy telefon.

— Boże drogi! Znowu! — mamrocze pod nosem lub klnie w duchu zadęczony człek i bierze słuchawkę telefoniczną.

— Czego?!

Ale po chwili potrząsa głową i zwraca się do słuchawki:

— Najmocniej przepraszam za to „czego”, chciałem rzec — słucham.

Ktoś tam mówi zadęczonemu człowiekowi o czymś. Ten słucha. Po czym zapytuje z gniewem:

— Czego?!

Słucha jeszcze przez dłuższą chwilę, następnie nerwowym ruchem kładzie słuchawkę.

— Powściekali się z kretesem! — mruczy.

...Drrrr!

— Czego? — zapytuje człek, łapiąc słuchawkę. — Przepraszam najmocniej, słucham.

— ...Nie, nie... Nikt nam nie przerwał. To ja sam się wyłączyłem.

...Drrrr! Drrrr! Drrrr!

Odpowiedzialny człek, zajmujący wysokie stanowisko w poważnym urzędzie przychodzi do biura dzień w dzień punktualnie o dziewiątej rano.

Wykonuje poważną robotę, opracowuje i rozstrzyga różne sprawy, które wymagają zastanowienia, namysłu, przewertowania wielu materiałów dotyczących sprawy, przeczytania książek, rozważenia, porównania, zważenia, a dopiero po tym podjęcia decyzji.

Człowiek pracuje umysłowo...

A więc punkt dziewiąta rano siada za biurkiem.

Nagle:

— Drrrr! — znowu telefon.

Po odwaleniu pierwszej rozmowy telefonicznej rozkłada papiery, czyta...

— Drrrr!

— Słucham!

Po piętnastym „drrr”, biorąc słuchawkę nie mówi już „słucham”, lecz „czego?”, ale szybko przytomnieje, stara się naprawić błąd. Najmocniej przepraszam, chciałem rzec nie „czego?”, lecz „słucham”.

Po siedemdziesiątym piątym „drrr!” długo — długo wpatruje się w telefon, po czym jak zbudzony ze snu powiada „taak!”, bierze słuchawkę i mówi:

— Czy mnie pan słucha?

Po stojedenastym „drrrr!” nie bierze już słuchawki, lecz łapie cały aparat i przykładą do ucha, dziwiąc się:

— Spójrzcie, jaka ciężka ta słuchawka. I niewygodna! Jak ją przyłożyć do ucha?

Następnie zastanawia się, zastanawia, zastanawia i raptem jak wrzaśnie niesamowitym głosem:

— Halo! Halo w twoją mać!

I osuwa się w fotel.

Ale po chwili wstaje i podchodzi do okna. A na dworze panuje wiosna. Na zielonej, kędzierzawej lipie podskakują świergoląc wesoło wróbelki.

Człek spogląda na nie i w żaden sposób nie może sobie przypomnieć, jak się właściwie nazywają te wesołe bestie skaczące po gałęziach...

Po pewnym czasie przypomina sobie, że to są wróbelki — i czuje się nieswojo. Denerwuje go, że zapomniał nazwy tak powszechnej ptaszyny i wprowadza to go jeszcze bardziej z równowagi.

Nagle powiada ze złością:

— Ech, żeby wam na lipie założyli telefon. Przystałybyście podskakiwać i szczebiotać...

III

Jakież to sprawy, jakie zagadnienia załatwia w ciągu całutkiego bożego dnia odpowiedzialny człek z nieodłączną słuchawką telefoniczną w ręku?

Najwcześniejsze, te pierwsze dzwońce starają się za wszelką cenę przekonać go, że już są w pracy, że się nigdy niby nie spóźniają, że przychodzą na czas... Inni znów w trakcie gadki, tak mimochodem, rzucają, że przyjdzie o piętnaście — dwadzieścia minut wcześniej do biura, to dla nich nie tylko rzecz przyzwyczajenia, lecz konieczność życiowa, która nie tylko napawa ich radością, ale wprawia ich wprost w najwyższy zachwyty.

— Nawet potomstwo swoje wychowuję w podob-

nym duchu! — podkreślał jeden z najwcześniejszych dzwońców, pytając przy tym ze wzruszeniem:

— A jak zdrowie pańskich dzieci? Przebakują na mieście, że szkarlatyna się sroży! O, trzeba uważać! — Ja swoich już do przedszkola nie posyłam. Dzieci — to dzieci! A ojcowie — to ojcowie!

Po rzuceniu tych i kilku podobnych głębokich sentencji dzwonec kończy gadkę:

— Wszystkiego... Zadzwońcie!

...Bardzo często zwracają się o rady w skomplikowanych i zasadniczych sprawach:

— Obok pokoju, gdzie się mieści rozgłośnia i spikerzy, mieszka rodzina z dziećmi. Dzieci hałasują i przeszkadzają spikerom w pracy. Czy można tę rodzinę przenieść do innego pokoju?

— A wolny pokój macie?

— Mamy! Właśnie się zwolnił.

— To po co się pytacie?

— No rozumiecie, jak się to mówi... He-he-he-he!
A na rybach byliście wczoraj?

— Nie bawię się w wędkarstwo.

— I ja nie. Ale niektórzy lubią. He-he-he-he! No, bywajcie!

Halo! Dręczy mnie niepokój! Mówi kandydat nauk filologicznych Kropka-Przecinkiewicz.

— Aha, obroniliście już dysertację? Gratuluję!

— Obroniłem, a jakże! Niełatwą. Chyba sam Bieliński nie dałby sobie z nią rady?

— Ciekawe, na jaki temat?

— „Wpływ pólek dębowych na okładki «Kobzara» Tarasa Szewczenki wydanego w 1871 roku”.

— Nadzwyczaj ciekawy temat. A jaki niepokój was dręczy?

— Jak pan uważa, czy nie lepiej pisać słowo „wio” nie tak zwyczajnie „wio”, lecz po literach „wi” dawać apostoła?

— Jakiego „apostoła?”

— No taki przecinek sterczący ogonem do góry.

— Aha! To nie leży w mojej kompetencji...
W sprawie apostołów zwróć się pan do teologów.

— Przepraszam...

— Szacunek! Witam!

— Kto mówi?

— Co, nie poznajesz? A front pamiętasz? Stałeś nad Elbą, a ja nad Dunajem.

— Pamiętam! A jakże! Znam Elbę i Dunaj. A o co chodzi?

— Instrukcja powiada, że międzyrządza kurydzy należy kultywować wzdłuż i poprzek. A w kołchozie „Zorza” kultywują zrazu w poprzek, a dopiero później wzdłuż. Czy mam wystąpić z tą sprawą na egzekutywę?

— Oczywiście. Wystąp! Wystąp! Wystąp z nią na egzekutywę! — ryknął odpowiedzialny człek. — Wystąp sakramencki dzwońcu, wyciągany wzdłuż i w poprzek!...

IV

Telefon, powiadają, wynalazł nauczyciel niemiecki Filip-Reis, a udoskonalił go Amerykanin Ball.

Ale oni za to nie ponoszą odpowiedzialności!

Gdyby wiedzieli, że nastanie plaga „dzwońców”, to by się powstrzymali z wynalazkiem.

SPIS TREŚCI

Otwarcie sezonu łowieckiego	5
Jak gotować i jeść zupę z dzikiej kaczki	11
Lis	17
Zając	25
Wilk	32
Niedźwiedź	42
Dzik albo odyniec	51
Bekas	63
Nur	74
Dzika gęś	84
Drop	94
Aleksy Iwanowicz	106
„Eh, jak nas kurowano“	118
Cud	126
Głośnik	131
Na chłopski rozum	134
Miód	137
Ten... potrafi...	140
Morze	142
Kto winien?	148
Turyści	154
Korzyści płynące z czasopism rolniczych	159
Dzwońce	162

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1960 r.
Nakład 5.000 + 250 egz. Ark. wyd. 6,4. Ark. druk. 10,5.
Papier druk. mat. III kl. 70 g. 82 × 104/32 z fabr. PWPW
Oddano do składania we wrześniu 1959 r.
Druk ukończono w kwietniu 1960 r.
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”
Zam. 5559-A. C-71. Cena 15.— zł.



Będzie pisać — rzekł ojciec widząc mnie siedzącego na podłodze i ręką rozmazującego kałuże.

Sprawdziło się ojcowskie proroctwo.

W 1921 roku zacząłem pracować w gazecie „Wisti” jako tłumacz, a potem pomyślałem sobie: — Po co ja tłumaczę, kiedy mogę pisać felietony. A później może i pisarzem zostanę. Specjalnych kwalifikacji nie mam, księgowość nie znam. Co ja mogę innego robić?

Ale w sekrecie się przyznam, że dotychczas uważam siebie przede wszystkim za dziennikarza. I nawet wtedy, gdy dentysta przewierca mnie na wskroś przeklętą bormaszyną, to skręcając się z bólu, myślę o tym, jak ten fakt najweselej i najdowcipniej opisać.

(—) OSTAP WYSZNIA